ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XLI.

DNIA 7. PAŹDZIERNIKA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

W. LIS.

WOJNA DZISIEJSZA WOBEC OPINII PUBLICZNEJ.



mówiliśmy w poprzednim artykule przyczyny, wywołujące imperyalistyczne tendencye w państwach nowoczesnych. Nic więcej nie możnaby w tej sprawie powiedzieć, gdy idzie o Włochy. Wszystko to, co prasa włoska pisze o potrzebie Trypolisu dla Włoch, jako narodu i państwa, nie wytrzymuje najmniejszej krytyki. Trypolis nie będzie nigdy, przynajmniej nie będzie napewno w bliskiej przyszłości, miejscem, do któregoby można było skierować emigracyę włoską. Cóż będą bowiem robili emigranci włoscy w oazach, w których ludność już dziś nie wiele jest rzadszą, niż we Włoszech południowych! Gruntów wolnych oni tam nie znajdą, a konkurować z tanim robotnikiem arabskim też nie będą. Zaś o jakiemś „ucywilizowaniu“ Trypolisu, o nawodnieniu jego pustyń i zamienieniu ich w żyzne pola, Włosi nie mogą myśleć, gdy dotąd nie udało im się tego dokonać w Sycylii, zwanej kiedyś „spichlerzem Europy“, dziś w większej części pustej i bezludnej. Dla użyźnienia Trypolisu potrzebne są miliardy franków, dziesiątki, jeżeli nie setki lat i setki tysięcy kolonistów, utrzymywanych przez państwo. Wszystkiego tego Włochy nie mają.

Takiej samej wartości są inne powody aneksyi, podawane przez Włochów. Handel z Trypolisem ma bezsprzecznie znaczenie dla Włoch, ale nie jest to bynajmniej rzecz ważna (kilka milionów koron rocznie), przytem, jak się teraz okazuje, Turcya gotowa była do najdalej idących ustępstw i gwarancyi na tem polu. Zaś obawa, że Trypolis może stać się groźnym dla Włoch pod względem militarnym w ręku innego państwa — była próżną, gdyż nikt, oprócz Włochów, nie czyhał na tę prowincyę.

Pozostaje zatem jedno: naga, brutalna chęć zysku ze strony „haute finance“ włoskiej, apetyty fabrykantów relsów kolejowych, pancerzy okrętowych, armat, dostawców armii i floty, bankierów, pobierających olbrzymie kurtaże przy emitowaniu pożyczek państwowych.

A lud włoski? W chwili, gdy to piszemy, wojsko włoskie zabiło już jednego demonstranta i raniło wielu protestujących przeciwko wojnie. Strejk powszechny, rozpoczęty przez partyę socyalistyczną i związki zawodowe, dla zaznaczenia ich wstrętu do wojny niesłusznej i barbarzyńskiej, — nie wydał wielkich owoców, choć przybrał daleko większe rozmiary, niż to przedstawiano początkowo, jak wyczytać można teraz w gazetach socyalistycznych. I należy przypu-

szczać, iż ruch przeciwko wojnie rosnąć będzie z czasem.

Dziś przeważają jeszcze demonstracye „patryotyczne“—tego specyficznego patryotyzmu, który przez każdy rząd w początkach wojny może być rozbudzony. Przecież i w państwie carów w r. 1904 byliśmy świadkami manifestacyi „patryotycznych“ — nawet na ulicach Warszawy! We Włoszech są one zapewne szczersze. Wybrzeża Afryki przez dlugie wieki były przedmiotem pożądliwości włoskiej. A tradycya historyczna gra we Włoszech większą jeszcze rolę, niż gdzieindziej. Wszak Włochy dopiero od czterdziestu kilku lat przestały być „wyrażeniem geograficznem“, stały się narodem we współczesnem znaczeniu tego słowa, to jest narodem - państwem. Nie tak dawno jeszcze żyły one wyłącznie tradycyami dawnej świetności. A te tradycye mówiły im ciągle o Afryce!

Ale tradycye zastąpić nie mogą faktów. To też patryotyczny zapał włoski, o ile jest szczerym, będzie prawdopodobnie słabnąć z biegiem wypadków. A niechże przyjdą klęski — niekoniecznie nawet takie, jak w Abisynii — to można być pewnym, iż wojna dzisiejsza przyczyni się do obniżenia powagi monarchii włoskiej wewnątrz kraju.

Jakie będą skutki wojny włoskiej? O tem jeszcze w chwili obecnej nic pewnego powiedzieć nie można. Widocznem już jest dziś, że państwa, najbardziej zainteresowane — Austrya w pierwszym rzędzie — czynić będą wszystko, co od nich zależy, aby wojnę zlokalizować, t. j. ograniczyć ją do amputacyi Trypolisu. Ale wątpić należy, by opinia publiczna w Turcyi zgodziła się na podobną operacyę, bez dokonania wszystkiego, co tylko możliwe, a co mogłoby jej zapobiedz, więc bez atakowania Turcyi na wszelkich polach, bez szukania odwetu na państewkach hrześcijańskich itp. A każda taka czynność Turcyi porusza bezpośrednio interesy całego szeregu mocarstw.

Drugiem zarzewiem, z którego wybuchnąć może pożar, są apetyty mocarstw. Jeżeli wojna potrwa dłużej, jeżeli doprowadzi ona do znacznego osłabienia Turcyi, to trudno przypuścić, by nie skorzystała z niej Anglia, zabierając Egipt, Grecya — anektując Kretę, Serbia i Bułgarya, wpadając do Macedonii wbrew zakazowi austryackiemu, lub może nawet za zgodą swego potężnego sąsiada. Nie zechce wtedy też pozostać z pustemi rękoma Rosya.

Dotąd Austrya sprzeciwia się wszelkiej zmianie status quo na półwyspie bałkańskim. I o ile ta polityka nie będzie interpretowana w sposób, któryby krępował swobodę ruchów Turcyi — co byłoby wyraźnem złamaniem neutralności — to możnaby jej tylko przyklasnąć. Odpowiadałaby ona zupełnie poczuciu sprawiedliwości, które każdemu nieuprzedzonemu człowiekowi każe stanąć po stronie Turcyi, brutalnie i cynicznie napadniętej.

Miejmy nadzieję, że i w przyszłości polityka austryacka się nie zmieni, szczególniej teraz, gdy schodzi się parlament i przedstawiciele ludu będą mieli możność bardziej skutecznego kontrolowania czynności rządowych.



INŻ. WŁADYSŁAW SIKORSKI.

SPRAWA DRÓG WODNYCH.

II. Wszystkie zobowiązania wzięte z okazyi uchwalenia ustawy z r. 1901 wypełniliśmy już, lub wypełniamy święcie. W najbliższej przyszłości rząd znowu sięgnie głęboko do naszych kieszeni, zwiększając znacznie wydatki wojskowe, sam jednak ze swej strony nie spełnia złożonych raz przyrzeczeń, nie wykonuje tych zobowiązań, jakie za cenę zgody posłów parlamentarnych na jego projekty i zamiary składa w chwilach przymusowych na rzecz gospodarczych potrzeb ludności.

W tej stałej tendencyi rządu austryackiego, która się stała jego przyrodzoną prawie cechą, tkwi zdaje się przyczyna obecnej klęski drożyźnianej, która wobec nieszczerej opieki państwa, o ile o gospodarcze postulaty idzie — przybiera cechy klęski żywiołowej — wywołującej rewolucye. Tak i ustawa z roku 1901, dzięki rządowi centralnemu, pozostała dotychczas w stosunku do nas na papierze.

Dzisiaj, w lat siedem od zamierzonego rozpoczęcia budowy kanałów — budują jedynie Czesi, którzy wyczerpali już całą kwotę przyznaną im do roku 1912 ustawą. Ponadto rozpoczęto budowę przegrody na Bystrzycy na Morawach i kanalizacyę Wisły pod Krakowem, co wszystko w luźnym tylko pozostaje związku z budową kanałów, stanowiąc drobny tylko ułamek wydatków, preliminowanych w roku 1901. W ogólności zaś z przewidzianego programu budowy dróg spławnych weszła w życie jedynie regulacya i kanalizacya rzek.

Rząd zaś centralny cały swój spryt wysila w tym kierunku, ażeby sprawę odwlec, jeżeli nie ubić doszczętnie, poza rok 1912, kiedy to twardy grunt uchwalonej i sankcyonowanej ustawy usunie się nam z pod nóg i kiedy niebywałego potrzebaby trudu, by zdobyć to, co nam omawiana ustawa dziś daje.

W tym też celu u wstępu samego stworzył on legendy o niebywałych trudnościach technicznych, na jakie przy realizacyi ustawy napotkano. Rozpisał konkursy na podnośnie mechaniczne — powołał ekspertyzy naukowe, któreby poprzeć miały jego nieprzyjazne dla sprawy kanałowej kalkulacye. Po bliższem rozpatrzeniu jednakowoż tych wątpliwości okazało się, że kanał Dunaj-Odra-Wisła należy do średnio trudnych tras wodnych. Kanał zaś galicyjski należy do najłatwiejszych kanałów w świecie. Leży bowiem w lwiej części w poziomie, a przy przekroczeniu działu wód, odgraniczającego zlewnie Sanu i Dniestru, wykorzy-

stuje ten jedyny w świecie wypadek, że wody jednej zlewni w czasie wielkich wezbrań wpływają do drugiej, tak nizką są bowiem przedzielone przegrodą.

Znalazła się i woda potrzebna do transportu statków i to bez wielkich trudności technicznych, a ekspertyza naukowa w 1908 roku uznała, że rzecz cała jest pomyślana dobrze, trudności pokonane, koszta finansowe zwykłe i przeciętne, racyonalność, a co za tem idzie rentowność i pożyteczność dróg wodnych, proponowanych w 1901 roku niechybna.

Ta droga zawiodła. Trzeba się chwycić pewniejszych środków.

I kwestya kanałowa stała się kwestyą, obalającą ministrów, a wprowadzającą nowych na ich miejsce, pracujących jednakowoż w dalszym ciągu nad pogrzebaniem dobroczynnej ustawy.

Znalazła się zresztą izba panów zawsze do usług rządowych gotowa, która opierając na fałszywych zestawieniach kosztorysowych (o czem później) dała rządowi rozgrzeszenie za dotychczasową w tej sprawie politykę, umocniła swoją radą na dalszą drogę walki z opinią publiczną, która zaczęła się budzić i domagać realizacyi poczynionych raz obietnic. Rząd centralny, a właściwie dzisiejszy obrońca sprawy kanałowej p. Biliński, ujrzał, że trudno już sianem się wykręcić. Dlatego też postanowił wykręcić się rekompensatą pieniężną, którą zresztą trzeba sobie dopiero było, jak to sprytnie p. Biliński za swej słynnej bytności we Lwowie określił, wywalczyć w parlamencie.

I te projekty kompensat pieniężnych odrzucił jednakowoż kraj stanowczo — pomimo chwiejnego stanowiska niektórych naszych posłów, wie on bowiem, że nie zdołają one nigdy zastąpić nam kanałów spławnych, mających skrzepić nasz organizm produkcyjny i stworzyć przełom w gospodarczem życiu Galicyi.

Sprawa kanałowa stała się z czasem kwestyą, która otwierała lub zamykała podwoje parlamentu wiedeńskiego. Byliśmy przytem świadkami niebywałych od dawnych czasów objawów cudotwórczych w naszem życiu politycznem. Oto w chwili wyborów, nastąpiła gwałtowna przemiana materyi mózgowych naszych wybrańców parlamentarnych i na arenie wyborczej w Galicyi zjawiło się raptem tylu najgorętszych zwolenników idei dróg wodnych w Galicyi, ilu było kandydatów do godności poselskiej.

I wpłynęło do Koła polskiego wielu obrońców tej sprawy, sam zaś jego prezes p. Biliński poprzysiągł wierność ustawie z 1901 roku, z pogardzanego przez siebie świstka papieru przed niedawnemi jeszcze czasy uczynił sztandar wspaniały, przy którym walczyć, paść, lub zwyciężyć ślubował. A rząd centralny?

Ten patrzy spokojnie na te ewolucye, nie zmieniając zasadniczo swego stanowiska, a posługując się tylko coraz to nowemi sposobami, przy pomocy których pragnie rozbić opinię publiczną, jej ostrze rozszczepić i uczynić przez to nieszkodliwemi dla siebie.

Dzięki temu jesteśmy obecnie w fazie nowych studyów, nowych planów technicznych, nowych tras i nowel ustawowych.

A jeśli rząd potrzebuje tego, znajdzie on zawsze zwolenników i swoich nawet i w Galicyi, którzy uzasadniać będą potrzebę nowych pomysłów, nierozstrzygniętą jakoby kwestyą, czy nie należy Wisły skanalizować na dłuższej przestrzeni, jakkolwiek wiedzą, że myśl ta nie utrzymała się z dwóch głównie powodów: 1) ponieważ Wisła jest rzeką graniczną, a jej skanalizowanie natrafia przez to na niepokonalne prawie wobec stanowiska rządu rosyjskiego trudności prawne. 2) ponieważ skanalizowanie jej, a więc podniesienie źwierciadła wody wpłynęłoby niekorzystnie na kultury nadbrzeżne.

Gdy zajdzie tego potrzeba, podniosą oni krzyk w obronie skrzywdzonego jakoby zagłębia krakowskiego, wysuną na czoło niefortunne pomysły nowych tras kanałowych, jakkolwiek zapewne wiedzą, że jeżeli trasa drogi wodnej ustalonej projektem dyrekcyi budowy dróg wodnych wymija pokłady węglowe, czyni to dlatego, ponieważ prowadzenie jej środkiem zagłębia, okazuje się często niewykonalnem z powodu trudnych warunków geologicznych. Że zresztą liczne porty i odgałęzienia, objęte projektem, zaradzą w zupełności złemu. Każdemu przecież zależeć musi na ożywieniu zagłębia krakowskiego. Ono bowiem grupować będzie w sobie największe porty kanałowe, mające stanowić najważniejsze centra alimentacyjne przyszłej drogi wodnej. Nie o to jednak chodziło rzekomym obrońcom nowego na Jaworzno w kierunku Śląska pruskiego idącego kanału, w czem inne znowu leży niebezpieczeństwo. Zależało im przedewszystkiem na tem, aby wywołać zamęt w tej sprawie, rzecz samą odsunąć w przyszłość niepewną, rządowi zaś dać sposobność do dalszych wymówek.

A wskutek tego, zamiast natychmiastowego rozpoczęcia budowy kanału na przestrzeni Kraków-Zator-Samborek, czemu nic absolutnie nie stoi na przeszkodzie, projekty bowiem szczegółowe są gotowe, grunta pod budowę w znacznej części wykupione, zamiast opracowywania projektów szczegółowych na przestrzeni kanałów galicyjskich, mamy coraz to nowe komisye techniczne, które badają wciąż, a w ostateczności komunikaty urzędowe, które wcale nie uspakajają opinii publicznej, a tylko stwierdzają rzecz starą, ustaloną jeszcze w roku 1901, w chwili tworzenia projektów szczegółowych.

Gdzie szukać przyczyn powstawania tych rys, które przecinają nasze zamiary w połowie, unicestwiają sam czyn przed jego spełnieniem? Czy w postępowaniu Rządu centralnego?

Co do tego nie było przecież u nas złudzeń!

Rząd ten wynajdzie zawsze te motywy, jakich w danej sytuacyi politycznej potrzebuje.

Dziwić się zatem będzie w pewnym momencie, że pomimo nader rozwiniętej sieci naturalnych rzek, w państwie austryackiem 6% tylko ruchu towarowego przypada na drógi wodne, 94% zaś na koleje żelazne. Gotów uwierzyć w to natenczas, że przeciążenie ruchu kolejowego towarami masywnymi, o stosunkowo nizkiej taryfie przewozowej, jest jedną z głównych przyczyn deficytów kolejowych.

Wyprowadzi stąd naturalny wniosek, uzasadniający potrzebę zmiany w tym kierunku — potrzebę połączenia rzek spławnych sztucznymi kanałami, stworzenia jednolitej sieci dróg wodnych, któraby postawiła państwo w rzędzie tych państw europejskich, które prowadzą racyonalną gospodarkę wodną i ciągną z tego różnorakie korzyści.

I w danej chwili zainicyuje tenże rząd centralny rozległe studya fachowe, stworzy osobne biura techniczne, które z ogromnym nakładem pieniężnym przygotują szczegółowe projekta, wykupi grunta potrzebne pod budowę, wyda jednem słowem miliony na zapoczątkowanie realizacyi tej „epokowej", jak sam ją tytułuje myśli.

Zmienią się warunki polityczne, zmienią się także i te poglądy, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

A więc to, co było prostą konsekwencyą naturalnych, nader dogodnych warunków staje się niemożliwą do pokonania trudnością techniczną, której realizacya połączona jest z nadmiernemi kosztami. To, co było przedtem rentownem, staje się dzisiaj interesem więcej niż wątpliwym, co było pożytecznem, szkodliwem, co wspierało przedtem i rozwijało przemysł krajowy, dzisiaj go zabija. Jednem słowem, co wczoraj było białem, stało się dzisiaj czarnem.

I nie można się dziwić rządowi, którego naczelną zasadą jest jedną ręką Galicyi dawać (pewne koncesye, pod przymusem okoliczności oczywiście), a drugą to samo odbierać (o ile okoliczności przymusowe przeminą), że w ten sposób postępuje z nami.

Zdziwieniem przejmuje nas tylko obojętność, z jaką społeczeństwo nasze obserwuje te logiczne skoki, które poprzednio scharakteryzowałem. Zachowujemy się tak, jak gdyby tu chodziło o jakiś kanał panamski. Przybieramy częstokroć wobec tej sprawy pozę miliarderów amerykańskich, dla których przedsięwzięcie, obliczone na setki milionów, drobnostką się wydaje.

Czyżby społeczeństwo nasze tak mało było żywotne, ażeby go nie interesowały tak ważne dla ewolucyi ekonomicznej Galicyi fakty, jak budowa kanałów austryacko-galicyjskich? Na to pytanie odpowiedzieć muszę stanowczem zaprzeczeniem.

Jedyną przyczyną, która spowodowała zastój opinii publicznej w tej sprawie, jest brak uświadomienia w szerokich kołach obywatelskich w tym kierunku.

Szerokie koła nie znają tej sprawy — nie mogą śledzić przeto z zajęciem perypetyi i faz jej poszczególnych.

To wszystko, co się przedostało w formie notatek dziennikarskich do wiadomości publicznej, ma charakter kronikarski, nie może przeto rozkołysać fal na wielką skalę — wydobyć z odmętu poglądów i poglądzików na widownię publiczną, jedno olbrzymie wołanie:

„Żądamy bezwarunkowej realizacyi ustawy kanałowej z r. 1901, która stworzyła najkorzystniejsze dla nas w tej sprawie warunki".



JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY). 15)

Maszynka huczała, szklanki zkądeś przyniesione stały, gdzie mogły, pełne gorącej herbaty. Znalazły się też bułki z szynką i serem, serdelki — uczta wspaniała — składkowa.

Powoli w tym tłumie zaczęły się uwypuklać pojedyncze postacie. Julek ze zdumieniem spoglądał na wysokiego młodzieńca w obcisłym mundurze gimnazyalnym, zapiętym na wszystkie błyszczące guziki, szczupłego, z twarzą spokojną, rysami regularnemi i wypukłem czołem, pod którem duże, ciemne oczy gorzały cichym, skoncentrowanym blaskiem czystego fanatyzmu. Mówił dużo, nie unosił się. Wszystkie dowodzenia popierał obszernemi cytatami z dzieł gruntownie przemyślanych. Posiadał wiedzę olbrzymią. Historya, prawo, socyologia były mu znane głęboko i dokładnie. Wierzył w konieczności dziejowe, których wola ludzka przyśpieszyć nie zdoła. Był stanowczym przeciwnikiem działań nieobmyślanych i pośpiesznych. Człowiek w potoku dziejów mógł według niego tylko stwierdzać, że nadeszła chwila dogodna do działania, do zwalenia ostatniego filara, na którym trzymać się będzie kiedyś podminowany już przez pokolenia świadomego proletaryatu gmach niesprawiedliwości społecznej. Chwila ostatecznego wyzwolenia ginęła w mroku przyszłości. Chwila wielkiej rewolucyi była bardzo daleka. Praca obecna leżała w organizacyi, w uświadamianiu, w zdobywaniu coraz większych korzyści, z dnia na dzień, z roku na rok, coraz dalej. Trzeba zbierać kropelki w strugi, strugi w strumyki, strumyki w strumienie, dążące do stworzenia rzeki potężnej. Rzeka sama potem zerwie tamy. Nawet

nikt jej by wstrzymać nie potrafił, gdyby nie wiem jak chciał.

Ten, z którym prowadził dysputę, był jego kontrastem. Silnie zbudowany, w zwykłej bluzie uczniowskiej, niewysoki, miał twarz i czoło szerokie, nos orli i wielkie szare oczy. Na potężnych szczękach koło zaciśniętych ust czernił mu się delikatny zarost. Słuchał tamtego z szacunkiem i powagą, tylko oczy mu chwilami błyskały jak wilkowi.

Wierzył w wolę jednostek. Teorya gimnazisty wydawała mu się słuszną tylko o tyle, o ileby wysiłki jednostek uważać za wynik konieczności. A jednak te zasługi ideowców istnieją. A jednak katorgi są pełne męczenników, a rewolucya francuska, komuna, rok 48 i agitacye Lasallów, Ściegiennych, Szymonów Konarskich, Kunickich i tylu, tylu innych są faktami, — faktami woli bohaterów. Teorya towarzysza obchodziła się z materyałem ludzkim, jak z maszyną, nakręconą przez niewidzialnego mechanika — historyę.

— Czy ta historyczność nie zamieni się nam wreszcie w fetysza lub co gorsza, jak w Niemczech i po części we Francyi w ten socyalizm obłaskawiony, bez kłów i pazurów, który zapomniał, że jest czynną myślą rewolucyjną, nie zaś ewolucyjnem „dążeniem“.

Gimnazista nie uznawał narodowości, jego przeciwnik wierzył w odrębność ducha jednostek etnograficznych. Gimnazista na pierwszem miejscu stawiał wyzwolenie proletaryatu pod jakąkolwiek formą. Tamten zaś twierdził, że bez obalenia krzywd narodowych tego się osiągnąć nie da. Te same siły powodują niewolę proletaryatu, które gwałcą wolność narodu. Gimnazista nienawidził wszelkiej przemocy tak dalece, że wzdrygnął się na myśl nawet zabójstwa szpicla.

— Co? — zerwał się nagle drugi. — Więc znów zakorzenia się u nas ten biały sentymentalizm Kościuszków i powstańców z 63 roku?! Więc zawsze będziemy się bali krwi? Zawsze będziemy ofiarami niewczesnych szlachetności i romantycznych zabytków naszego burżuazyjnie chrześcijańskiego wychowania? Porzućmy nareszcie tę cześć dla jednostek, kiedy chodzi o miliony! Pozwólmy zapłonąć namiętnościom, przemówić woli tych, co są żołnierzami i bohaterami z urodzenia, tak jak Walek, którego jutro może powieszą! a przecież on ma dopiero 16 lat — i jak on to zrobił! Jak on się cieszył, jaką dziką zawziętość miał na twarzy, jak się śmiał cudownie ten ognisty chłopak, kiedy szedł wykonać wyrok! O! on nie litował się nad szpiclowską krwią, bo wiedział, że sam życie naraża — i jakie życie! Widzieliście go kiedy? Ta szeroka mięsista twarz, dobra, łagodna i wesoła! Jak on się raz wymknął żandarmom! Szedł spokojnie — tylko zerkał z podełba na prawo, na lewo... Nagle trzasnął w pysk jednego, pchnął drugiego nogą w brzuch i jazda. Strzelali za nim! A jakże! Zranili dorożkarskiego konia! Później, w teraźniejszej sprawie przypomnieli to sobie. Bili go, a on wymyślał im od sk.....ów, dowodził, że powinni go po rękach całować, nie bić, a kiedy leżał cały we krwi od tego bicia, to jeszcze gadał, dowcipkował, aż jeden plunął i poszedł — wiecie gdzie? Powiesił się.

Gimnazista umilkł. Po twarzy przemknęło mu nieuchwytne skrzywienie bólu.

— Może macie racyę w tym wypadku — rzekł zwolna. Walek zabił bardzo niebezpiecznego szpicla... Tylko nie myślcie, że wielu będzie tych, co się wieszają po biciu socyalisty... Żal mi go. Po co się wieszał... Mógłby był tyle zrobić po takiem nawróceniu... A ten szpicel... Nie... Nie walczmy bronią, którą z nami walczą. Może znikną kiedyś te ohydy wojen.

— Tak, wtedy, kiedy armaty wolnych ludzi zmuszą do milczenia działa rozbójników współczesnych! Ale nie prędzej i nie inaczej.

Dysputa się urwała, bo jeden ze starszych mężczyzn prosił o głos. Nastała nagle cisza, jak makiem siał.

Starszy pan miał fizyognomię poczciwego urzędnika ze zwykłą brudką w klin i nic nieznaczącymi rysami. Tylko ze stalowych oczu sypał iskry, a głos chwilami dźwięczał metalicznie.

Mówił łagodnie, równo, bez frazesów, uśmiechając się nieraz, żartując, serdecznie a poważnie, o ciężkich warunkach w jakich walczymy, o radości, jaką odczuwał wraz z obecnymi, z tego zebrania, o stanie działań partyjnych, które dały już nadspodziewanie pomyślne wyniki, wreszcie zakończył poglądem bardzo zbliżonym do teoryi gimnazisty.

Julek uczuł ku niemu wprost miłość na prostotę jego wyrażeń.

Po tem przemówieniu nanowo zawrzało od rozmów.

Ktoś zanucił „Warszawiankę“. Wnet podchwycono melodyę i słowa. Zaczęli śpiewać wszyscy, a przez otwarte okna poddasza leciał w śpiącą Warszawę daleko ten głos żyjącego chóru rozbudzonych wolnych serc młodych.

— Naprzód Warszawo, na walkę krwawą!
A potem śpiewano „Czerwony Sztandar“.

Tu głosy spotężniały. Zapomniano o wszelkiej ostrożności. Towarzysz, który dysputował z gimnazistą, śpiewał w dzikiem zapamiętaniu. Drapieżna jego twarz skurczyła się, oczy ciskały przeszywające ognie, przez otwarte usta wydobywał się potężny głos, stęskniony do wybuchu. Śpiewano z wściekłą, nieskazitelną rytmiką.

— Niesie on zemsty grom, ludu gniew —
Wolności rzuca siew!

Słowa padały jak uderzenia nóg maszerującego wojska, jak salwy karabinowe.

Julek oszalał. Oczy miał pełne łez, zachwytu, chciałby się rzucać na szyję każdemu z towarzyszów, nie śpiewał, ale ryczał tę pieśń nieforemną, iście proletaryacką, z zapałem, od którego czuł, że mu włosy stają na głowie i ciarki chodzą po skórze. Poszedłby na każdego wroga z gołemi rękami.

— A kolor jego jest czerwony
Bo na nim robotników krew,
Bo na nim robotników krew!

A potem towarzysz z dysputy zaintonował ponuro,

— „Pieśń ma była już w grobie, już chłodna“.

I trzeba było słyszeć, kiedy doszło do wezwania.

— Zemsta, zemsta, zemsta na wroga!
Z Bogiem, a choćby mimo Boga!

Tu wybuchał gniew ludu wprost z ziemi, i trzaskał jak piorunami w burzliwą, czarną noc.

— — — — — — — — — — —

Głosy rozchodziły się po śpiącej Warszawie i nigdzie nie budziły nawet zaniepokojenia. Spali obywatele bez troski, bez — honoru — spali gnuśnie — — Śpiewają gdzieś? Tak — pewno się popili, niech ich tam! Tęgie jakieś chłopaki! Muszą być z dziewczynami...

Policyant też zauważył w pewnej chwili, że gdzieś tam śpiewają.

— Czort że ich pabieri!

— — — — — — — — — — —

Trzeba było pomyśleć o powrocie do domów.

Wychodzono po dwóch, co kilka minut, żeby nie zwracać uwagi. Starsi mieli wyjść ostatni, jakby kapitanowie zagrożonego okrętu.

Tymczasem, podnieceni śpiewem i zebraniem, rozmawiali pół leżąc na łóżku w pokoju Wacka.

Julek stanął nieśmiało we drzwiach i słuchał.

Prowadzono dalszy ciąg dysputy, zaczętej przez gimnazistę.

Ten, który wygłosił mowę, słuchał z ukrywanem niezadowoleniem wywodów mężczyzny o twarzy tak dziwacznej, że kto go raz zobaczył, ten nie zapomiał nigdy.

Wysoki, chudy, silnie zbudowany, widocznie o stalowych mięśniach, miał czoło tak olbrzymie i w tył podane, że wydawał się łysym. Na tej fantastycznie powyginanej czaszce wichrzyły się niesforne w różnych kierunkach biegnące kępy gęstych włosów. Małe, nieco skośne, czarne oczy, osadzone daleko jedno od drugiego pomiędzy wystającemi kośćmi policzkowemi, błyszczały inteligencyą, wesołością i sprytem. Długi, płaski nos leżał na szerokiej linii wązkich warg, a linię tę jeszcze powiększały wąsy czarno rudawe, rosnące wprost z góry na dół i twarde jak szczecina.

Nagie ugory wybitnych szczęk porastały pojedyncze, wyschłe trawki, tylko brodę tworzył potężny, rozwichrzony pędzel.

— Cóż w nas rewolucyjnego — he? mówił stłumionym, dźwięcznym głosem ten dziwaczny człowiek, rzucając głową i jakby parskając owem „he“, ciskanem twardo, z wyzywającą niedbałością. — Propaganda? Tajne drukarnie? Organizacya? Dobrze. Ale to wolno robić w każdem państwie konstytucyjnem. Wieszają za to tylko w Rosyi. Organizacya do czego? Do strajku powszechnego, mówicie? Śliczna myśl — he? Ale czy wy o nim na seryo myślicie? — To jakieś marzenie, słodkie, romantyczne marzenie. Cały bieg rzeczy świata zatrzymuje się, żeby stworzyć nowe życie. Cisza odrodzenia, nieme napięcie wszystkich sił ludzkiej natury, skupienie się lwa, pełzającego wśród trawy, czajenie się do skoku wolności. Umiem i ja ładnie mówić — he?! Ale chciałbym wiedzieć co dalej? Nie mówię co dalej w razie tego olbrzymiego strajku międzynarodowego, międzyświatowego, ostatecznego... Wtedy — może by to był naprawdę koniec wysiłków. Ale tak u nas — to znaczy w urzędowej „Rassieii“. A? „Kak dumajetie barin“. Tydzień strajku, dwa, trzy — no sześć tygodni!! Gwałt na wysokich „prestołach“, krzyk „rewolucya!“ Tracą głowę na razie, bierzcie co chcecie, ale niech koleje idą, niech wojska się mogą ruszać, gdzie chcą, niech żywność mają... Bierzcie co chcecie — konstytucya. Tak — nawet konstytucyę dostaniecie — i co? W Petersburgu widzą, że ta rewolucya idzie z gołemi rękami — „W mordu ich!“ Wystarczą sotnie kozackie, a już rewolucyi nie ma...

— Już zaczynacie swoje! — rzekł z grymasem niezadowolenia, oglądając się, mężczyzna, który miał mowę. — Chcecie powstanie robić czy co?

— He? Niesmaczna wam taka myśl — Nie dzisiejsza! — zaśmiał się dziwak na całe gardło. — Patrzycie, czy zaraza nie padnie na młodych — he, he, he, he! — Wiem, dlaczegoście przerwali dysputę tych dwóch sympatycznych chłopaków... Ale nie bójcie się! Nie myślę propagować powstania. Tylko bym nie chciał, żeby rewolucya zastała nas z gołemi rękami — nas w Warszawie — i nas w Petersburgu... A ona idzie — idzie — tylko, żeśmy wychowani w takim pogromie, w takiej niewoli, że nawet nas, rewolucyonistów odbiegły sny rewolucyjne. Kto o tem myśli na seryo? Piszemy o tem dużo — prawda? — to nasz myt, nasza religia, ale ona dalibóg, że już przypomina zwyczajny katolicyzm z nagrodą w niebie, nie na ziemi...

— Więc chcecie wskrzesić drugą „Narodną Wolę“?

— Pst... Nie wspominajcie tak lekko bohaterów... I po co to mówić o rosyjskich? Naszych nie mamy, czy co? Waryński, Kunicki. Syberya pełna. Demokraci polscy. Rok 46, 48 — rok 31 — 63 — po co nam obce wzory — przebaczcie — nie obce — nie! — ale odrębność polską czuję — no, basta!

Schylił głowę i ściągnął brwi, jakby pokłon oddawał tym, którym chciał dorównać.

— Gdzież wy czujecie, że rewolucya tak blizka?

— Gdzie? He? — Nie tylko w ilości „uświadomionych“ — nie! Cóż wy myślicie, że „Kolos na glinianych nogach“ to frazes? Pierwsza wojna i rewolucya gotowa.

— Jaka tam wojna!

— A choćby japońska — palnął nagle dziwak. — Nie śmiejcie się — przeczytajcie lepiej trochę angielskich książek i angielskich dzienników. Ta Japonia ma dzisiaj 300.000 doskonałego wojska, a podobno drugie tyle, tylko się tem nie chwali. Flotę ma świetną — a Koreę zechce zabrać i Port Artura —

— E! — marzenia jakieś — przerwał niecierpliwie drugi. Dlatego mamy sprowadzać karabiny, a może i armaty, że może za 50 lat wybuchnąć wojna rosyjsko-japońska!

Wzruszył ramionami i wstał. Był głęboko oburzony.

Dziwak uśmiechnął się złośliwie i smutnie.

— Nie za 50, ale może za dziesięć — może za cztery lata — odpowiedział poważnie i stanowczo.

Wstał również. Mieli wychodzić, kiedy nagle odezwał się dotychczas milczący człowiek, którego Julek brał za jakiegoś studenta. Istotnie, można mu było dać zarówno lat 20 jak 40. Twarz młodzieńcza zmienna, raz poryta w mię-

siste fałdy, to znów gładka jak u chłopaka z gimnazyum, oczy błękitne, bezdennie smutne, wargi zmysłowe, brwi namiętnie zrośnięte w jedną czarną linię, zaledwie nad każdem okiem zlekka wygiętą. Włosy, bezładna broda i wąsy blondyna przy tych czarnych brwiach uderzały jak coś nieprawdopodobnego, jak przyprawione.

— Zostańcie trochę, rzekł do dziwaka głosem zmęczonym i smutnym. Jestem muzykiem, wiecie, ale w partyi mnie znacie. Poruszyliście sprawę, o której nie śmiałem mówić. Tak, my nie jesteśmy rewolucyonistami, jesteśmy tylko odważnymi żywymi ludźmi, ale nasza energia zwraca się w sprawach życia tak często po linii najmniejszego oporu... Naprzykład w stosunku do kobiet.

Dziwak spojrzał na mówiącego z lekkim uśmiechem, który znikł natychmiast. Usiadł. To samo uczynił jego towarzysz.

— Możeście czytali, mówił dalej muzyk — najzjadliwsze dwie książki, jakie Polak współczesny napisał. Pewno nie. Przeczytajcie. Jedna — to „Obrona Rodziny“ Wolskiego, druga — „Wielomęztwo“ Lubowidzkiego[1]). Ten sam widocznie autor obydwu dzieł miażdży dzisiejszą konstrukcyę społeczną sarkazmami pierwszorzędnego dowcipu i przenikliwości. Prostytucya, religia i rodzina trzymają się tam za ręce, wspólnie podtrzymując dzisiejsze społeczeństwo. W „obronie rodziny“ autor pisze zjadliwą apologię tej spółki szatańskiej, apologię z taką niewzruszoną logiką napisaną, że złapał się na nią jeden znany ugodowiec i niejeden taki, który nie ma zmysłu społecznego. W „Wielomęzstwie“ autor polemizuje z „Obroną Rodziny“. Nie będę się tu nad temi dziełami rozwodził, ale przytoczę jeden pomysł autora, oburzonego, że nawet socyaliści inteligenci nie wahają się brać procentów od kapitału, jaki społeczeństwu dają w sobie zbłąkane proletaryuszki, które się stały prostytutkami, lub które niemi będą...

— To oskarżenie nie stosuje się chyba do ogółu inteligentów... To byłby fałsz.

— Nie ma wątpliwości, że to byłby fałsz. Ale czy istotnie tak się nigdy nie dzieje, jak pisze Lubowidzki, że inteligent po zadowoleniu żądzy z proletaryuszką, służącą, szwaczką, czy zwykłą prostytutką, płynie po nieskalanem morzu ideowości z towarzyszką inteligentką, naprawdę czystą i niewinną...

Mężczyzna, który miał mowę. wstał.

— Nie warto było wracać, żeby słyszeć podobne oszczerstwa! rzekł z obrzydzeniem. Może tak i bywa czasem, ale...

— Czekajcie chwilę. Ani ja, ani Lubowidzki nie jesteśmy oszczercami. Ale ja wiem, że tak bywa i że my sami mimowoli nieraz pomagamy do zatraty tego wielkiego skarbu, jakim są dla nas kobiety z ludu. Może być, że nieraz musimy tak postępować, ale słuchajcie, co za projekt daje autor. On chce, żeby proletaryat oddzielił się murem od burżuazyi i nie wydawał jej ani jednej kobiety na pastwę. Burżuj niech sobie szuka żeru wśród swoich. A inteligent niech czyni tosamo, a jeżeli się zbliża do proletaryuszki, to nie jako uwodziciel, lecz jako kochanek, czy mąż... Uwodzenia niechże ma odwagę dokonywać w swojej sferze, niechże nie idzie po linii najmniejszego oporu ku tym, które kupi blaskiem złota czy przewagą swego położenia, czy większą inteligencyą w prowadzeniu romansu, co oszołomi niedoświadczone... Ja tu wam mówię skrót myśli autora, własnemi niezdarnemi słowami. Przeczytajcie tę jędrną książkę, pisaną jakby przez genialnie dowcipnego, ścisłego prawnika. Doprawdy, nie odpowiadajcie mi tem, na co nie zasłużyłem, to mówiąc. Wiem, że was moi drodzy, moi bracia, których uwielbiam — ach — i to mi przebaczcie — to może śmieszne wywnętrzanie się — was to boli z pewnością więcej jeszcze, niż mnie — wiem, coście już zdziałali w tej sprawie, że każda wasza myśl zmierza do wywrócenia tej ohydy — ale ja, jabym chciał piętnowania tych, co w rozpuście żyją, chciałbym pogromu lupanarów, a więcej jeszcze pogromu tych, co tam chodzą, a najbardziej tych, co ku temu dziewczęta skłaniają tem, że je gwałcą... Bo wyzyskanie położenia jest gwałtem, który przecież trzebaby karać jak gwałt.

— Zapewniam was, że kiedy robociarzom przyjdzie chęć pogromu lupanarów, to ich nic nie wstrzyma od tego, choćbyśmy nawet chcieli. Były już takie chęci, ale powstrzymaliśmy je czasowo w obawie zbyt wielkich ofiar...

— Wiem o tem. Ale jabym żądał od przedstawicieli rewolucyi czystości bezwzględnej! Wykluczenia z partyi za rozpustę! Niechże czystą, wielką sprawę prowadzą ludzie czyści!

W pokoikach nastała cisza, a potem parsknięcie śmiechu. Zrobił się gwar wśród pozostałych jeszcze osób.

— A jakże określicie tę rozpustę, towarzyszu — odezwał się drwiący głos z kąta.

— Posiadanie kobiety bez miłości jest rozpustą! — zawołał z błyskiem w oczach muzyk.

Tym razem śmiechy stały się głośniejsze.

— Zatrzymajcie życie! — Rozdawajcie miłość! — Sentymentalik! Każe się onanizować czy co? A cóż u dyabła robić? Ja nie umiem uwodzić? Ja niemam szczęścia do kobiet! A jak ona sama chce, to co? krzyczano i wołano ze wszystkich stron, wśród żartów i śmiechu.

Nagle ktoś krzyknął.

— Dawajcie dziewczyn!!

Obydwa pokoiki zatrzęsły się od śmiechu.

Ale niektórzy milczeli. Dziwak przeżuwał coś w myślach, aż zaczął wesoło.

— Słuchajcie no towarzyszu. Poruszyliście sprawę poważną, olbrzymią. Miłość... Ale mówicie, że wszystko poza miłością jest rozpustą. No — nie! A ten ogień, pełen zachwytu co mnie niesie ku jednej, w danej chwili, jedynej — he? A szaleństwo zmysłów samo przez się — he? — To ma być rozpusta? Miłość... Czy miłość bywa jedna tylko! Hola! — taka miłość, to rzadkość — to się codzień nie zdarza. A tu chodzi o tłum żądz — pomyślcie tylko. Nie sektę. ale życie nowe pragniemy stworzyć. Rada waszego autora dobra, ale on też nie radzi tego, co wy — on wie co jest rozkosz i żądza...

— To prawda — odpowiedział muzyk. — To też proszę was, bierzcie to, co mówię o roz-

[1]) Książki te ukazały się w druku dopiero w r. 1908 czy 9, ale ten anachronizm (powieść dzieje się na wiele lat przed rewolucyą) chyba mi będzie darowany.

puście, wyłącznie na mój rachunek. Ja zdania nie zmienię.

— Pamiętajcie, rzekł nagle twardo dziwak, że ci, co tu się najgłośniej śmieją, są przeważnie tacy, jakimi ich mieć chcecie. Wielu z nich nie znało jeszcze kobiety.

— Tak źle nie jest! — zawołał Wacek, pokazując zęby.

Znowu ogromny śmiech — ale tym razem tylko już na rzecz Wacka, którego „romans“ był znany.

Dziwak roześmiał się, patrząc na niego z pobłażliwą przyjaźnią.

— No, nie bądźmyż Katonami, to wytwarza tylko obłudę. Nie jesteśmy święci, ale do wszystkich dyabłów! nie chcemy za takich uchodzić. I wiecie co wam powiem? Może w tej waszej przesadzie jest trochę burżuazyjnej czułostkowości — he? — No nie?

— Nie! — Muzyk wstał, twarz miał jakby natchnioną. — Nie! — powtórzył z mocą. Nie ośmieszajcie mnie. Ja to przeżyłem. Nie wmawiajcie we mnie, że głoszę abstynencyę, czy coś w tym guście. Nie propaguję czystości klasztornej! Niech żyje wolne życie! niech żyją wolne żądze! niech żyje chuć! Drodzy moi — wszystko com tu nabajał — to nic — ja- się nie umiem wypowiadać, obraziłem was mimowoli i dobrze, że mi potem przypomniano, że ci, co się ze mnie śmieją, są napewno czyściejsi odemnie. To wszystko nie jest jądro rzeczy. Powiem wam, o co mi chodzi na dnie tej sprawy. Trzeba całą swoją psychikę zmienić, żeby się stać rewolucyonistą. Trzeba się stać nowym człowiekiem — nowym we wszystkiem — w myślach, żądzach, w każdem drgnieniu serca. Trzeba porzucić skórę burżuazyjnego społeczeństwa do cna — cisnąć ją zupełnie, zerwać z niem wszelkie węzły. Myśleć i czuć rewolucyjnie, to nie znaczy tylko propagować socyalizm, bić szpiclów i mężnie znosić tortury, więzienia, katorgi. Wolność i bunt trzeba czuć w każdej kropli krwi, w każdem drgnieniu mięśni i myśli. A przedewszystkiem wybierajcie sobie kobiety lwie! Takie, co nigdy nie skalały się burżujską miękkością! Wiem, że wśród towarzyszek inteligentek są takie — ale to wyjątki. Do ludu idźcie — łączcie się z kobietami z ludu! Tylko nie jako nawóz dla żądzy, ale jako związek na śmierć i życie. Wy nie znacie kobiet z ludu. Ach jeszcze raz mi przebaczcie. Ja nie jestem kabotyn, nie przemawiam z piedestałów, ja to przeżyłem! Ja wiem, czem jest bezwzględna, zajadła, cynicznie wielka moc kobiet z ludu! I wiem, ile tam głębi, prostoty i wyrafinowania uczuć. Nie znajdziecie u nich czułostkowych drobiazgów malutkich duszyczek burżuazyjnych, ani histerycznych, obłudnych uniesień, ani instynktów sprzedawania się, lawirowania między uczciwością, pozycyą towarzyską a bogatym kochankiem. — Wierzcie mi albo nie — zresztą — róbcie co chcecie.

C. d. n.

MIECZYSŁAW RETTINGER.

LWOWSKA BOHÊME.

II. INTRYGA I MIŁOŚC.

Towarzyszowi mych
ceremonialnych przeglądów.

Niech nikt nie sądzi, iżby godziło się wymyślać sennej ociężałości lwowskiego flirtu. Przygotowawcza jego faza usprawiedliwia tyle, że znosi się nawet studya astronomii i botaniki w czasie jego trwania. Co i jakkolwiek może być pożytecznem, wszędzie i zawsze jest uciążliwem. Wszystkiemu winna intryga. Albowiem miłość wnika w głąb duszy dopiero przez intrygę skłamanego tragizmu. Jeśli zaś tragizm podnosi się do godności niezrozumianego „deus ex machina“ wówczas kto wie, czy upadek bohatera nie znaczy się upadkiem w jakieś ramiona. Styl dramatu nacechowany jest przez to, że proste rozwiązanie całej historyi może poprzedzać stylizowane samobójstwo np. alkoholizm, albo nie mniej stylizowany symbol np. wyjazd na prowincyę. Mogą co prawda istnieć pewne wątpliwości co do natury i pochodzenia takiej miłości — rzeczą niewątpliwą jest jej istnienie. Sami aktorzy zaprzeczając jej słowem — potwierdzają ją gestem. W sytuacyach podobnych stajemy u t. zw. źródeł tragizmu. Ścierają się w nich długie korowody słów, będących po większej części synonimami, wyłuskwiają się jak z pochwy, ustawicznie przy nadwerężonym skądinąd boku noszonej tragicznie wypowiedzi niedocieczonych tajemnic. A najtragiczniejsze są sylogizmy. Sylogizm w miłości prowadzi nieuchronnie do trzeciej przesłanki: łzy nie do obtarcia, gangrena wrażliwości, hannibalizm męskości. Niedorzeczność i głupota stają się tu kwestyą formy albo odpowiednio skompowanego finału. Wówczas uparte jakieś chocholisko dawniej z niedocieczonych powodów Mefistem lub jeszcze gorzej nazywane poczyna szeptać:

„Perła, znaleziona na śmietnisku
pomiędzy nierogaciną, pozostaje perłą“.
„Nie każda dziura w (cudzym) parkanie
otwiera metafizyczne perspektywy“.
„Szlachetni entuzyaści są za często entuzyastami“.
Twój dowcip? — to nabożeństwo za umarłą szczerość“.

Pomyślmy smętną sytuacyę. Każdy z istniejących na świecie bon motów odnosi się do przeintrygowanej miłości. Cóż ma czynić człowiek, który radby wobec świata, rzeczywistości, a już tembardziej wobec bohême zachować pozory jednostki, która się na miłość nie nabrała i przeto erotyczny swój ogródek obsadza ślicznie trawkami ironii i dowcipu? Buduje gdzieś przed okiem bliźnich ukrytą altankę sentymentu, który zabezpiecza starannie bluszczem przyzwoitości towarzyskiej, a na zewnątrz wystawia oblicze, ubrane w karby, z których żaden świat Hamleta nie wyszedł i nie wyjdzie. Oblicze człowieka intrygującego miłością w bohême jest nieporównaną harmonią żałości i uśmiechu, wahadłem pomiędzy tem, co się stało

i tem, co się nie powinno stać, pocałunkiem Judasza, który nie przestał być apostołem, choć ma zostać odszczepieńcem.

Z wyzwolin idzie śmiałość, lecz z niewolników rekrutują się rewolucyoniści. Nawet w bohême. Gdyby można napisałoby się historyę ślepych wyznawców zwyczajów danego środowiska, którzy przez bierność je wykrzywiając, dochodzą do linii granicznej, gdzie kończy się wzór, a zaczyna karykatura, ustępuje model, a na miejscu jego zasiada okaz kliniczny. Tak bohême umożliwia szyderstwo, płodne w zaczątki dalszego rozwoju. Nim jednak rozpryśnie się dawna forma obyczajowości — grają ją wyznawcy z przejęciem i posłuszeństwem. Autor i dyrygent pomarli — pozostały niedobitki z świetnej orkiestry, którzy zazdrości o czasy swej zgrzybiałej, a naszminkowanej sztuki wywołują wrażenie kawałkami granemi na opak, choć z dawnym rytmem i tupetem i szukają rąk klaskających po przebiegnięciu utworu, napisanego na dawny jakiś kogoś nieznanego jubileusz. Chodzą wśród bohême niedobitki sztuki życia i sztuki kawału, absolwenci dawno zamkniętych szkół odczuwania i gestykulowania. Tu znowu bohême uległa intrydze miłości. Intryga jest kwestyą sprytu, miłość kwestyą energii. W upale spraw bieżących, w ciągłem czy to rafinowanem czy brutalnem ich rozstrzyganiu wyrasta szablon bohême, idący od rzeczy zewnętrznych do intymnych od sposobów reagowania na wielkie wieści ze świata do wewnętrznych rozstrojów i narostów. N i e s e n s i z a ł o ż e n i a t w o r z ą b o h ê m e, l e c z j e j n a w y c z k i. Zbadać je jest równoznacznem ze zbadaniem bohême. Od bohaterskich czasów romantyzmu, a nawet dużo, dużo wcześniej bohême wspierała się na przyzwyczajeniach, uzurpując sobie zawsze te same cele i te same o nich wiadomości. Przyzwyczajenia były różne, dzieliły się nieraz przepaściami przesądów towarzyskich i literackich zabobonów. Gdy więc mowa o miłości przez intrygę i intrydze w miłości wskazówek szukamy nieodmiennie w przyzwyczajeniach. A więc commilitones? czy szukać za wami na przecenianych five· o'clokach? czy badać wasze zamiary na krzesełkach cukierni Zaleskiego, gdzie dziś realizują się plany i plątają węzły, zlekka zadzierżgnięte na letniskach galicyjskich? Rozmowa wasza jest godna bohême. Nieśmiałość w geście zastępuje się pozorami zainteresowania rzeczami odległemi, barwnemi... przestrzenią, która nas od nich dzieli. Bezinteresowność Wasza w intrydze potęguje się do naprężenia uwagi w słuchaniu wywodów o Trypolisie lub — co było częstem i znamiennem — o Rapperswylu. Dramatyzujecie wtedy, gdy musicie. Nawyczką lwowskiej bohême jest grymas. Niewytłómaczalny, psujący linie twarzy i dobrą zabawę — grymas. Statystyka naszej bohême będzie statystyką grymasu, który nie będąc poważnym, nie jest wesołym, nie domagając się niczego, wymaga wiele, będąc sam przez się cierpkim, doprowadza nieraz do wesołości i powstając z miłosnej intrygi przybiera maskę surowego sędziego. Z przejrzenia rzędów krzeseł w teatrze lub Filharmonii nabiera się wiedzy o aktorskich konglomeratach w tym zawiłym procesie psychicznym. Oto twarz uśmiechnięta, która nagle nieładnie się wydłuża, broda przybiera dwukrotnie, zmarszczki na czole opadają ku brwiom, a źrenice przesuwają w niemożliwym zezie, Albo zamyślenie sztuczne i zamyślenie konieczne. Albo stężenie w skręconej podstawie starego karciarza, które produkuje jakaś nieletnia entuzyastka bohême. Albo na czole zmarszczka powagi, a usta jakby dla inhalacyi otworzone. Wszystko dla wrażenia erotycznego. To aktorstwo nąjzewnętrzniejsze i najdostępniejsze. Grymas w życiu codziennem przedstawia niezmiernie rozległy teren dla dopuszczeń i przypuszczeń. Jeden nie będąc do drugiego podobnym jednoczą się w podobieństwie węzłów w składności i powadze, jakby wyjętej z dalszego ciągu powieści Heimburgowej lub Wernerowej, a nawet jednego z dydaktycznych traktatów Marcelego Prevosta.

Intryga i miłość, jako odłam życia bohême wyciskają stylowe piętno na wszystkich. Uśmiechnij się Penelopo, w głęboko umotywowanym wybuchu nastąpi powrót marnotrawnego syna. Bo przecież nagrodą zdrady jest przebaczenie, a rozkoszą niewierności myśl o powrocie. Gdyby uśmiechnąć się wśród płaczu — pomyśli się zawsze: oto subtelność. Wyrasta niewiasta ponad siebie samą, mszcząc swe własne upadki upadkami męża. Oświadcza się ktoś z codziennego repertuaru: kuzyni, znajomi blizcy, a nawet czasami mężowie. Nic przyjemniejszego i bardziej ku realizacyi wzdychającego, jak po tygodniowych lub miesięcznych nieporozumieniach czynić wspólne reminiscencye. To, co było, powraca w jasnem świetle sensacyi najmilszej, nagłej choć spodziewanej. Rozprężenie chwilowe, czasami nawet peryodyczna bezużyteczność aparatu intrygi i miłości przechodzi.

Aparat działa precyzyjnie, Bohaterowie z bohême otwierają sobie drogę do życia przez wspomnienie. Bo o cóż chodzi? Człowiek bohême cokolwiekby powiedział, powie mniej więcej: dążymy do niepopularnego przeniesienia się w sfery z innymi punktami zaczepienia i ciężkości, (normalnie mówi się: lepszy rydz jak nic). Nawet bardzo poróżnieni spotkają się w bohêmiowem ujściu celu. Et tout le reste jest nawyczką bardzo przyjemną i bardzo wygodną.

* * *

Każda bajka ma sens moralny, dod koniec uwidoczniony. Bajki o bohême tem są szczególne, że moralnego sensu nie ujawniają. Być może, że ten wyjątek jest wyjątkiem chlubnym.



LEON WASILEWSKI.

Z POŁUDNIOWYCH KRESÓW POLSZCZYZNY.

Rok rocznie tysiące wycieczkowców udają się w Pieniny, aby się napawać prześlicznym widokiem tych gór, sterczących wyniośle nad krętym, zielonym Dunajcem. Zwykle jedzie się furką z Nowego Targu wygodną szosą przez Waksmund, Ostrowsko, Zapusznę, Harklową, Dębno, Maniowy, Czorsztyn i t. d. do Czerwonego Klasztoru. Tu wsiada się w oryginalne, wązkie, w jednym pniu wydrążone łodzie, zczepione ze sobą po dwie, trzy i cztery, któremi kierują zgrabni górale, nadzwyczaj zręcznie omijający podwodne kamienie i progi. W ten sposób dojeżdża się do Szczawnicy, wypełnionej po brzegi kurującem się tu potomstwem Izraela. Stąd znowuż furką powrót do Nowego Targu.

Droga od Nowego Targu aż do samego Czorsztyna nic bardziej ciekawego nie przedstawia, to też radziłbym każdemu, kto ma trochę wolnego czasu, aby nieco zboczył i przekroczywszy granicę węgierską już w Łopusznej, zdążał do Czerwonego Klasztoru przez najmniej znany turystom polskim zakątek Spiżu. Zwiedzenie bowiem tych kilku wsi polskich (jak Nowa Biała, Krempach, Friedmann, Falstin, Niedzica), położonych na uboczu od zwykłego traktu wycieczkowiczów, z pewnością dostarczy wrażeń ciekawych a nieoczekiwanych.

Ziemia to polska od siedmiu conajmniej wieków, lud jej niczem nie różni się od ludności polskiej po tej stronie granicy spisko-galicyjskiej. A jednak, co za przepaścista różnica między położeniem żywiołu polskiego tu a tam! Tuż za słupem granicznym, zaopatrzonym w napis madziarski: »Magyaroszag Szepes Varmegye«, polskość kraju, nie mniej tu silna od polskości sąsiedniej Nowotarszczyzny, nagle traci charakter pierwiastku panującego i przekształca się w pogardzanego i popychanego przez wszystkich kopciuszka.

Już w pierwszej wsi — Nowa Biała — oddzielonej od Łopusznej malutkim laskiem, urzędowy pokost madziarski powleka życie miejscowe. Na tablicy u wstępu do wsi widnieje jej nazwa madziarska — i tylko madziarska — Uj Béla. Na szyldzie szkoły miejscowej pod napisem madziarskim widać drugi napis — słowacki — Ludowa Škola. Polskiego napisu nigdzie w całej tej wsi niema i nawet kulasy, jakimi wystylizowano zakaz przepędzania bydła przez wioskę z powodu epidemii pryszczycy, mają charakter słowacki, kiepsko maskujący rodowitą polszczyznę pisarza. Polskich napisów trza szukać dopiero na cmentarzu, na krzyżach nagrobków. Ale i tu jest ich zaledwie parę. Reszta napisów imituje — z małem powodzeniem — język słowacki, w oczach polskiej ludności miejscowej bardziej »arystokratyczny«.

W następnych wsiach nawet i na cmentarzu niema już polskich napisów — same słowackie, choć nazwiska spoczywających pod tymi suto złoconymi krzyżami ze spiżu świadczą najlepiej, że to nie żadni Słowacy.

I idzie się przez te wioski polskiego zakątka między Galicyą a stokami Magury spiskiej, spotykając co chwila chłopów miejscowych. A każdy cię pozdrawia tak samo jak i po tamtej stronie granicy węgierskiej, tak samo jak wszędzie w całej Polsce. Ani mowy madziarskiej, ani mowy słowackiej nie usłyszysz tu nigdzie. A jednak panuje tu żywioł madziarski oficyalnie, słowacki zaś faktycznie, bo nawet madziaryzacya przez szkołę odbywa się tu za pomocą języka słowackiego, którym się w dodatku posługuje nie żaden Słowak, lecz Polak miejscowy, w jednej osobie nauczyciel i organista.

Spotkawszy turystów »z Polska«, taki człeczyna zagadnie ich po niemiecku, bo język niemiecki uważany tu jest za mowę niejako dyplomatyczną, nadającą się do używania w stosunkach z »cudzoziemcami«. I będzie mówił po niemiecku, aż w końcu, rozgadawszy się, przyzna się, że i on potrafi mówić »po maguranśku« (maguranische Sprache), poczem już mówi tak samo, jak i otaczająca go ludność, a więc czysto po polsku. I nawet nie będzie się spierał z wami, jeśli go zapewniacie, że ta »Maguranische Sprache« jest niczem innem, jak polszczyzną.

W karczmach miejscowych, udzielających za tanie pieniądze bardzo wygodnego noclegu, panuje niepodzielnie niemczyzna, mocno wpadająca w żargon, i nikt, zdawałoby się, ani słówka po polsku nie rozumie. Dopiero kiedy uprzecie się, nie chcąc mówić po niemiecku, pokaże się, że i gospodarz i jego rodzina zdolni są porozumieć się z wami po polsku nie gorzej od swych spółwyznawców, jeśli nie z Grodzkiej ulicy w Krakowie, to bodaj z zaułków Kazimierza. Bo i jakżeby nie umieli po polsku, skoro do tej karczmy co chwila wpada to chłop, to wyrostek, to baba, załatwiając różne sprawunki wyłącznie w języku polskim.

Od właściciela karczmy dowiecie się czegoś z dziejów osady miejscowej. Wskaże on wam ruiny zamku panów węgierskich, którzy tu niegdyś panowali, zanim nie wysprzedali swych majątków żydom. Wymieni parę nazwisk i dat wątpliwej wartości. Pozwoli sobie nawet na uszczypliwą uwagę co do lichych wyników madziaryzacyi szkolnej wśród chłopów miejscowych, którzy po skończeniu szkoły ludowej tak samo nic nie umieją po madziarsku, jak i przed wstąpieniem do niej. Pochwali się natomiast „świetnymi postępami" w madziarszczyźnie własnej dziatwy.

Madziarsko-słowacko-niemieckie wpływy nie są w stanie zatrzeć polskości kraju. Wyziera ona na każdym kroku z pod obcego pokostu. I nietylko w mowie ludu, u młodszego pokolenia zlekka zabarwionej naleciałościami słowackiemi, ale i w niejasnych wspomnieniach. Ze zdaniem, że kraj ten niegdyś należał do Polski, spotkacie się nieraz. W dużej wsi Friedmann pokaże wam organista ciekawą rzeźbę w wielkim ołtarzu starego kościoła, zeszpeconego ohydnemi ozdobami nowszej daty. Rzeźba polichromiczna przedstawia św. Stanisława, modlącego się na klęczkach przed krucyfiksem w tej właśnie chwili, kiedy Bolesław Śmiały, drab o dzikiem spojrzeniu i czarnej kudłatej brodzie, zamierza się nań mieczem. Oprowadzający was po kościele staruszek opowie fantastyczne dzieje kościoła frydmańskiego, wymieni z dumą wszystkich frydmańczyków-księży, którzy pokończyli szkoły w Krakowie, pokaże tabliczkę marmurową z polskim napisem, przysłaną przez Karmelitów krakowskich na pamiątkę śmierci jednego z członków tego zakonu, pochodzącego z Friedmanna, a zmarłego w Krakowie. Opowie wreszcie przygnębionym głosem o madziaryzatowskim systemie szkolnym, wyrażając przekonanie, że jeśli nie nastaną jakieś zmiany, to za 30, najwyżej 50 lat wszystko tu będzie zmadziaryzowane.

Tymczasem lud polski na Spiżu, tak samo zresztą jak i po drugiej stronie wrzynającego się w Węgry klinu Nowotarszczyzny — na Orawie i w Trenczyńskiem, nie madziaryzuje się wcale, lecz ulega wpływom słowackim, głównie wskutek oddziaływania kościoła. Bo kościół jest tu instytucyą czysto słowacką. Kazania i śpiewy kościelne odbywają się w języku słowackim, księża tu sami Słowacy, bardzo często narodowcy słowaccy, świadomie wmawiający w ludność miejscową, jakoby była słowacką.

Oto jesteśmy na odpuście w Niedzicy — wsi, położonej mniej więcej naprzeciwko Czorsztyna, niedaleko od wznoszącego się na stromem wzgórzu białego zamku „wielmożnych państwa Salomonów". W kościele i przed kościołem zgromadziła się wyłącznie ludność miejscowa, bo to czas najusilniejszej pracy w polu, więc nikt prawie z dalszych wiosek nie przybył. Stroje ładne, ozdobne i barwne: wyszywane gunie i kamizele, jaskrawe szerokie wstęgi u warkoczy dziewcząt. Po słowackiem kazaniu i słowackich śpiewach kościelnych ludzie opuszczają mury chylącego się do upadku, zaniedbanego kościoła. Gwar polski panuje niepodzielnie. Rozchodzący się mają przeważnie modlitewniki w ręku. Modlitewniki słowackie, choć chłop, który wam swój modlitewnik pokazuje, oświadcza rezolutnie:

— Można czytać to i z polska.

I istotnie, cała ta narzucana ludności polskiej na Spiżu mowa słowacka, brzmi bardzo „z polska",. I ludność ta czuje instynktownie, że bynajmniej nie jest słowacką, że bliższe są jej miasteczka galicyjskie, dokąd jeździ na targi, aniżeli administracyjne ośrodki Słowacczyzny. A jednak nic się u nas nie robi dla rozbudzenia świadomości narodowej przeszło 100-tysięcznej gromadki Polaków trenczyńskich, orawskich i spiskich. Rośnie wprawdzie literatura o tych zapomnianych kresach polskich, ale poza specyalistami-etnografami, i językoznawcami nikt się na seryo ziemią i ludnością polską zaboru węgierskiego nie interesuje.

Czas już najwyższy na zapoczątkowanie jakiejś poważniejszej akcyi kulturalno-narodowej, którąby łatwo można było prowadzić z centrów nadgranicznych Galicyi — od Żywca do Piwnicznej, zwłaszcza, że stosunki polskiej ludności na Węgrzech z Galicyą są nader żywe i stałe. Rozbudzenie polskiego ruchu narodowego na tych kresach południowych polskiego obszaru etnograficznego jest jednem z najwdzięczniejszych zadań demokracyi galicyjskiej.

S. AUERBACH.

STRACHY POD ADRESEM TRZECIEJ RZECZYPOSPOLITEJ.

(ARTHUR MEYER: CE QUE MES YEUX ONT VU. PARYZ 1911, XXXI+432 IN 8[0]).

»Je veux surtout dénoncer les mensonges de la république. Elle nous avait promis la liberté, la fraternité. La fraternité, ou a vu comment elle l'a pratiquée aux jours néfaste de la Commune. Nous verrons bientôt ce qu'elle a fait de la liberté et de l'égalité. M. Thiers, fondateur de la république, a dit: „La republique doit finir daus le sang ou dans l'imbécilité". C'est dans le sang qu'elle a débuté: l'imbécilité la guette depuis longtems (Artur Meyer. *Co moje oczy widziały*. (str. 59).

Oto jest duch i synteza książki, która z pośród ostatnich nowości literackich, jakie w ciągu bież. roku ukazały się na półkach księgarń paryskich, wydała mi się najodpowiedniejszą do streszczenia dla czytelników Życia.

Postać autora interesuje nas podwójnie: jest to dziennikarz zawodowy, od lat przeszło czterdziestu wirujący dokoła kulis przemożnej i wpływowej prasy francuskiej i od lat przeszło czterdziestu fotografujący wibracye życia francuskiego, od najsłabszych do najpotężniejszych, od nic nie znaczących do historycznych. Artur Meyer jest również muskularnym Mohikaninem klerykalno-monarchicznej bandy, zawzięcie prowadzącej kampanię przeciwko ustrojowi republikańskiemu i zwycięskiej demokracyi.

Redaktor gazety Gaulois (p. Meyer wydaje i redaguje wielki dziennik arystokratyczno-plutokratyczny i zarazem najbardziej konserwatywny w prasie francuskiej) maluje nam tedy w swej pracy dzieje trzeciej Republiki od dnia jej narodzin aż po dzień dzisiejszy.

Omawia w niej wiele spraw, które dotychczas nie były albo wcale, albo całkiem niedostatecznie wyjaśniane, jak n. p. sprawę Dreyfusa, genezę antysemityzmu francuskiego, rolę i znaczenie Giełdy paryskiej (na sajesté l' Argent), wpływ i rozwój prasy (Son Altesse la Presse), dzieje skandalu panamskiego, perypetye bulanżyzmu etc. Jako świadek i uczestnik wielu historycznych ewenementów, rzuca nowe światło na pewne znakomite postacie we Francyi, jako kronikarz potrafi być niekiedy objektywnym, a co daje pracy jego w moich oczach szczególną wartość jest to, że wyznawane przez siebie idee otwarcie głosi, broni ich i że nie obawia się rzucać w twarz przeciwnikom swoim, t. j. republikanom i demokratom, tego, co myśli i tego, co czuje.

Pamiętnik Artura Meyera (sądzę, że tak najstosowniej będzie nazwać jego pracę) jest więc całą historyą, bystrą, lekką, pisaną à vol... d'aéroplane, III Republiki francuskiej. Zaczyna się od r. 1870 a kończy z rokiem 1910. Pamiętnik ten obejmuje tylko wydarzenia wielkie, historyczne, zdaje się bowiem że pisanym z pamięci, wypadki więc drobne nie zatrzymały uwagi autora.

Rozpoczynając od powstania Komuny, zatrzymuje się autor nad osobą Thiersa. Wypadki te były do przewidzenia. Thiers ich nie przewidział i to było poważnym błędem. A nie przewidział ich dlatego, bo był kiepskim psychologiem: nie znał ludu paryskiego. „Thiers wiedział wszystko, o czem się pisało w książkach, znał wszystkich umarłych, ale nie miał pojęcia o żyjących". Takie same świadectwo Thiersowi w przed-

mowie do pamiętników Meyera wystawia Emil Faguet: „Thiers znał doskonale Europę, o Francyi jednak wiedział daleko mniej a o Paryżu mniej, niż o Francyi — prawie nic o nim nie wiedział“. To też zarządzenia jego wywołały niezadowolenie ludu. Wyraziło się ono w powstaniu a następnie w wojnie cywilnej, najokropniejszej może w dziejach Francyi.

Po upadku Thiersa, na prezydenta republiki powołano księcia d' Aumale. Był on prezydentem przez jedną noc! Obalili go bonapartyści. Zastępuje księcia d' Aumale marszałek Mac-Mahon.

Zbytecznem jest wspominać o absolutystycznych rządach Mac-Mahona, o dniu 16. maja. Za jego rządów i w senacie i w Izbie większości znalazła się po stronie republikańskiej. Mac-Mahon nareszcie ustąpił. Władze prezydenta przeszły w ręce szefa lewicy republikańskiej; Grevy'ego, i odkąd t. j. od 30. stycznia 79 r. „republika republikańska“ została założoną.

Meyer ubolewa. „Wraz z upadkiem Thiersa i dymisyą Mae-Mahona zamyka się era republiki-konserwatywnej! Thiers powiedział: „La république sera conservatrice ou elle ne sera pas“. Republika nie była (po Thiersie Mac-Mahonie) konserwatywną a jednak istniała. Niemniej mówi Meyer, Thiers miał racyę. Republika była wciąż celem napaści i przedmiotem łupów; to ją osłabiło, własni jej zwolennicy tak ją wyczerpali, że dzisiaj po czterdziestu latach, opiera się na elementach, które ją kompromitują i wycieńczają. Jeśli temi elementami mają być: Briand, Clemenceau, Caillaux, Cruppi, to z powyższym sądem zgadzam się bezwzględnie.

Na słowa Thiersa odpowiedział dziennikarz Weiss: „La république conservatrice — c'est une bêtise“. Słowa te komentuje Meyer paradoksem: „Weiss miał bezwzględną słuszność: republika nie jest więcej konserwatywną, ale jest ciągłem głupstwem“.

Zaczynają się niezadowolenia z ustroju republikańskiego. Bulanżyzm był spontanicznem spojeniem wszystkich niezadowolonych, był on zwłaszcza reakcyą przeciwko skandalom panamskim. Emil Faguet tłumaczy Panamizm tak: „Jak we wszystkich republikach demokratycznych, parlamentaryusze, przytłoczeni rozchodami wyborczemi i kiepsko płatni, znajdują się w potrzebie materyalnej; tem objaśnić należy przekupstwa posłów, otrzymywane przez nich miliony od Towarzystwa budowy kanału panamskiego i poczynione wzamian ustępstwa“. Ludem opanował szał gniewu, podsycany intrygami bulanżystów. Otóż Meyer kroczył na ich czele. Ciekawe szczegóły opowiada i o sobie i o generale. Przytem twierdzi, że Boulangera opanowała nowa Dalila, która zaprzedała go republikanom. Była to madame de B. Fiasco bulanżyzmu zawdzięcza Meyer tej damie. I dlatego mówi o generale: On nie został stworzonym aby być Bonapartem. Belgia stała się Egiptem tego pięćdziesięcioletniego kochanka.

Dzięki przymierzu z Rosyą, republika zaczyna swobodniej oddychać. Ale zjawia się nagle szalony wicher i na długo przyciemnia jej horyzont ciężkiemi chmurami.

Ruch całkiem nowego ducha, „absolutnie nieznany we Francyi od trzech stuleci“, twierdzą Fagnet i Meyer razem, upewnił się około roku 1885. Ruchem tym był — antysemityzm.

Rozdziały pracy Meyera, poświęcone antysemityzmowi i dreifusizmowi, są najwięcej ciekawe.

Artur Meyer stara się dowieść, że to ustrój republikański wytworzył we Francyi antysemityzm.

Republika republikanów, jak już zauważył wcześniej Thiers, musi być antykatolicką. Jako taka musi się opierać na elementach antykatolickich: a więc na żydach i protestantach. Żydów i protestantów republika protegowała, faworyzowała, obdarzała wszelkiemi łaskami. Zaszczyty, stanowiska, synekury, przywileje, wyróżnienia, wszystko to, jak manna, spadało na głowy żydów i protestantów. Czyż tedy dziwić się należy animozyi, która rosła w sercach katolików! Rząd stracił respekt śród ludu a nienawiść religijna, która, zdawało się, całkiem wygasła we Francyi, wskrzeszoną została na nowo. „Antysemityzm, mówi Artur Meyer, jest fundacyą trzeciej Rzeczypospolitej“.

I oto akurat w chwili najdrażliwszej, kiedy duch antysemicki znajduje się w najostrzejszem stadyum, kiedy nienawiść do żydów i protestantów wre w duszach katolickich, wybucha płomień, któremu na imię l'affaire Dreyfus! Niestety, nie mogę się zatrzymać nad szczegółami tej sprawy komentowanej przez Meyera z pasyą, ale i z pewną dozą bezstronności. Meyer zarzuca rządowi republikańskiemu, że zniesławił armię, że ciało oficerskie uważał za kongregacyę religijną i t. d.; z drugiej strony okazało się, że wyzuto żydów ze wszelkiej krytyki, że postawiono ich ponad prawa, że uczyniono ich panami i władcami Francyi. Stąd rosła i potęgowała się nienawiść do żyda, do pieniędzy żydowskich, do arystokracyi żydowskiej. Sprawa Dreyfusa pozostawiła w umysłach współczesnych, mówi Meyer, fermenty złowróżbne, nieszczęsne. Oto, co mówi on o antysemityzmie, on, który we wstępie do swej pracy przyznaje się do żydowskiego pochodzenia, ale który stał się w następstwie bojownikiem, może jednym z najnamiętniejszych we Francyi, katolicyzmu i monarchizmu. Kiedy się widzi we Francyi pewne kategorye żydów, politykujących, ciskające się (se ruer) na wszystkie stanowiska administracyjne i współdziałające wraz z ministrami-sekciarzami nad ohydnem dziełem zniszczenia katolicyzmu — nie można nie być antysemitą. Kiedy się widzi burmistrza Rzymu, Nathana, będącego żydem i wolnomularzem jednocześnie, a prześladującego katolików — nie można nie być antysemitą. Kiedy się widzi Zolę kanonizowanego i panteonizowanego w obecności armii, którą lżył — nie można nie być antysemitą. Kiedy się wreszcie widzi, jak Briand instaluje wielkiego szefa masoneryi francuskiej Laffere'a, w łóżku arcybiskupiem, to trzeba i powinno się być antysemitą“.

Jak widzimy, Meyer tutaj poplątał cały szereg spraw: Zolę panteonizowano dlatego, że bronił Dreifusa. Briand stał się prezesem ministrów dlatego, że wywłaszczył kongregacye, działając niewątpliwie w imieniu żydów i t. d.

Zarzuty te i tym podobne są konwencyonalne w ustach klerykałów i nacyonalistów, nie będę bynajmniej z niemi polemizować. Zaznaczam tylko, że Anatol Leroy-Beaulieu w kapitalnej pracy Izrael chez les nations szczegółowo i uczciwie podobne objekcye rozbiera.

To, co jest niewątpliwie trafnem w książce Meyera, jest fakt, że żydów kiedy-niekiedy i gdzie-niegdzie, naprawdę traktują, jako uprzywilejowanych. Żydzi polscy powinni być wdzięczni Niemojewskiemu, że on niemal pierwszy (wcześniej uczynił to Belmont, ale na szpaltach Wolnego Słowa i bez wielkiego skutku) domagał się dla nich prawa krytyki. Podlegać krytyce jest wielkim zaszczytem i wielkiem

dobrodziejstwem! Być ponad krytyką chce tylko pyszałek, głupiec, tchórz lub oszust. Dotychczas żydzi nasi stali ponad krytyką, obecnie, dzięki Niemojewskiemu, stali się równi ze wszystkimi, narówni z całym światem ucywilizowanym podlegają słonecznym promieniom krytycyzmu, które w nich stopią niezdrowe zarodki. Zaiste, z tej zmiany ich położenia w naszem społeczeństwie powinni być tylko dumni!

Dwa rozdziały w pracy Meyera, jeden o rozwoju instytucyi pieniężnych (Meyer przyznaje tym instytucyom wielkie znaczenie kulturalne i ogólne, a zapomina, że rozkwitły tak bujnie właśnie w Rzeczypospolitej demokratycznej!), a drugi o rozwoju prasy francuskiej, zawierają bogactwo materyału faktycznego.

Crédit Lyonnais posiada kapitału zakładowego 250 milionów franków, przeszło 314 agencyi w Paryżu, na prowincyi, w koloniach francuskich i zagranicą. Kasetek żelaznych w podziemiach swego specyalnego gmachu na bulwarze des Italiens w Paryżu posiada 45.000. W gmachu tym znajduje się restauracya dla... 1.200 urzędników banku. Personel kobiecy ma do swoich usług ogród, położony na dachu gmachu; jest tu ogród zimowy i letni. Personel męski posiada galeryę dla fechtunków, salę kąpielową i również salę... koncertową. Finansyerów paryskich, którzy pokryli 5-miljardowy dług Frandyi (kontrybucya Niemcom) z takim pośpiechem, nazywa Meyer prawdziwą... Armią Zbawienia!

Cztery dzienniki: Le Matin, Le Journal, Le petit journal biją dziennie przeszło 4 miliony egzemplarzy. Petit Journal sprzedaje milion egzemplarzy dziennie. Petit Parisien — 1,200.000 w dniu zwykłym, podczas zaś niedziel i świąt bije 1,600.000 egzempl. dziennie!

Matin posiada 5 własnych gmachów, zajmujących przestrzeń 3.400 metr. kwadr., 900 osób stałego personelu, 5 wielkich maszyn rotacyjnych, które biją w ciągu godziny i składają 500.000 egzemplarzy, własną elektrownię, własną fabrykę klisz, specyalne zakłady fotograficzne, otrzymuje około 3.000 listów dziennie, dzienny obrót kasowy wynosi 80.000 franków, wydaje się na papier przeszło 10.000 fr. dziennie, za otrzymane w r. 1909 depesze tylko z zagranicy zapłacił 500.000 fr., redakcya posiada 100 współpracowników stałych, pracujących w trzech sekcyach: informacyjnej, polityczno-parlamentarnej i zagranicznej. Wszystkie materyały, przedmioty i narzędzia, jakie potrzebne są Matinowi, otrzymuje on z własnych fabryk i zakładów.

Journal posiada 2000-ny stały personel urzędników i współpracowników, 14 maszyn „linotypes", 14 maszyn rotacyjnych, 170 mechaników, własną bibliotekę, własne archiwum, własne druty telegraficzne i t. d. Tygodnik Illustration bije blisko 150.000 egzemplarzy, zajmuje olbrzymi sztab pracujących, posiada własne zakłady fotograficzne, rozchodzi się po całym świecie — i t. d.

We Francyi wychodzi dziennie z drukarni redakcyjnych przeszło 8 milionów egzemplarzy gazet. Jeden egzemplarz czytany jest mniej więcej przez 4—5 osób. Daje to minimalną liczbę czytających dzienniki około 32 miliony (całkowita ludność Francyi wynosi nieco więcej nad 39 milj.). Jest to jedna z najpiękniejszych kart kultury francuskiej.

* * *

W nagłówku niniejszego artykułu wypisałem: „Strachy pod adresem trzeciej Rzeczypospolitej". Tak, Republika jest zagrożona. Artur Meyer ma słuszność, kiedy drwi: gdzie jest obiecana wolność, równość, nie mówiąc już o braterstwie? Rozumuje on jeszcze tak:

Thiers powiedział, że republika nie może być republikańską, musi być konserwatywną.

I Thiers miał słuszność: bo dzisiejsza republika republikańska jest anarchią, jest ciągłem wrzeniem, jest bzdurstwem. Nikt z niej nie jest zadowolony: my (t. j. szlachta) nie, lud nie, mieszczaństwo także nie, bo obala jedno ministeryum po drugiem i wciąż waha się pomiędzy konserwatyzmem a anarchizmem. Zaiste, Francyi potrzebny jest inny ustrój, ustrój zgodny z jej wielką tradydyą i wiarą ludu francuskiego!

Parafrazując własne słowa Meyera, mogę mu odpowiedzieć: Kiedy się widzi Briandów na żołdzie finansyery, to można być wrogiem takich republikanów; kiedy się widzi jak Caillaux traktuje dziennikarzy rewolucyjnych i syndykalistów, to nie można nie być wrogiem takich republikanów. Kiedy się widzi, jak Cruppi traktuje przestępców politycznych („przestępców" za to, że zdemaskowali trzech szpiegów-prowokatorów) narówni z apaszami i sutenerami — to nie można nie być wrogiem takich republikanów. Kiedy się wreszcie widzi, że cała prasa republikańska, „jak jeden mąż", milczy o tem, iż w więzieniu dobrowolnie skazał się na śmierć głodową współpracownik Guerre Sociale, Dolié, nie mogący inaczej zaprotestować przeciwko wtrąceniu go do celi bandytów i zawodowych rzezimieszków, kiedy się widzi, że ta prasa głucha jest na głosy Anatolów Franców, protestujących przeciwko takiemu barbarzyństwu — to trzeba i powinno się być wrogiem takiego republikanizmu! To całkiem słuszne są obawy, iż taki republikanizm nie ostoi się, że rozpęta on siły reakcyi i nocy.

Pan Meyer może sobie tedy śpiewać i drwić.

Kiedy jednak ster Francyi republikańskiej ujmie w swe dłonie uczciwa, pracowita, energiczna Demokracya, ta, która od stu przeszło lat jest honorem, geniuszem Francyi, — wtedy p. Meyer będzie inaczej śpiewał!

SPRAWOZDANIA.

(ad pl.) *Bolesław Limanowski: Szermierze wolności. Spółka nakł. »Książka« w Krakowie* 1911.

Książki historyczne Bolesława Limanowskiego z epoki emigracyjnej mają jedną nieocenioną zaletę: unaoczniają sprawę, zbliżają ją z całej różnorodności żywych szczegółów, konkretyzują. Przyzwyczailiśmy się emigracyę uważać za jakieś pojęcie oderwane, niemal jednolite i w sobie zamknięte — i to niezależnie od tego, jaką w nią wkładało się treść, czy mitologizującego ojczyznę romantyzmu politycznego, czy ulubionych tradycyi demokratycznej i istotnie polskiej ideologii. Mowa tu oczywiście o oryentacyach szerszego czytającego i myślącego ogółu; otóż przeważają w nich uogólnienia i konstrukcye — nie zawsze już dziś fałszywe i ogólnikowe, ale zawsze bardzo z daleka, bardzo abstrakcyjnie traktujące przedmiot. W książkach Limanowskiego widzi się coś całkiem in-

nego. Pisze on biograficznie, interesują go nie same idee i ich prądy, lecz przedewszystkiem ludzie, przez których te idee przechodziły. W omawianej książce czytamy szereg mniej lub wiecej wykończonych szkiców biograficznych: Emilii Plater, Jana Olrycha Szanieckiego, Józefa Zaliwskiego, Karola Sztolzmana, Wiktora Heltmana, Wojciecha Darasza, Ludwika Mierosławskiego i Walerego Wróblewskiego. Występują postaci ludzi dział jących i mówią do nas swojemi czynami, mówią szczegółami swego życia, mówia słowami swojemi i swoich współczesnych, wzajemnemi stosunkami i sporami, niemal wyrazem twarzy zamieszczonych w książce wizerunków. Uogólnień i konstrukcyi prawie nie widzimy, zaledwie we wstępie słów parę o tem, co reprezentuje każdy z tylu szermierzy wolności, wyznacza nam w czytaniu linię rozwojową w ideologii ich walki. A właśnie dlatego. gdy z trudnością doszukujemy się ogólnych perspektyw, stojąc niejako w pośrodku spraw samych, zdobywamy oryentacye bardziej szczegółowe i wierne.

Ile np. życia epoki bije z takiej postaci Emilii Platerównej. Patryotyzm jej wychowany na tradycyach historycznych Rzeczypospolitej każe jej czerpać moc do marzonych od dzieciństwa sławnych czynów w dziejowych wspomnieniach, w oglądanem polu raszyńskiem, łokietkowych grotach, a nawet mogiłach Kraka i Wandy; każe jej wreszcie wpisać starodawnym zwyczajem akt powstania do ksiąg ziemskich i sądowych.

Jednocześnie zaś młoda hrabianka zbliża się do ludu, zbiera i naśladuje piosnki jego i melodye z typowym entuzyazmem owych czasów, szukających tu źródeł kultury i narodowości. Jak nową, nieoczekiwaną postacią jest Szaniecki. Żyjąc i działając w czasie odradzającego się na nowo bytu państwowego i rozwijającego się życia gospodarczego, jest z razu typem postępowego organicznika z czasów Królestwa kongresowego. Szeroki zakres jego planów poznajemy z ustawy Towarzystwa rolniczo-handlowego w Pinerowie, które zakładał. Jest tam mowa o prowadzeniu i udoskonaleniu przemysłu rolniczego i handlowego, o umacnianiu kredytu za granicą i w kraju, o zakładaniu fabryk i rękodzielni, a nakoniec o doprowadzaniu włościan do dobrego bytu przez krzewienie oświaty, wykorzenianie zwyczajów feudalnych i dopomaganie do nabywania własności. Lecz kiedy wybuchło listopadowe powstanie, umiał ten organicznik program swój na język rewolucyi przedłożyć. Wychodząc z założenia, że rewolucya „socyalna jest środkiem narodowej, przez nią ostatnia istnieć tylko może“ stał się w sejmie nieugiętym bojownikiem uwłaszczenia, a nadto zgłosił wniosek proklamujący w kraju ogólne powstanie w masie wraz z jednoczesnem ogłoszeniem własności gruntowej dla włościan i równouprawnienia obywatelskiego dla żydów.

Przechodząc do emigracyi, zajmuje się Limanowski wyłącznie jej lewym, radykalnym odłamem; a przecież ileż dostrzegamy tu różnic i antagonizmów i to nie owych „emigracyjnych swarów“ — dorywcze wyrażenia Mickiewicza zbyt silnie zaciężyły nad oryentacyą w tej sprawie — lecz stanowisk na istotnych różnicach światopoglądu społecznego i na odmiennem pojmowaniu aktualnych programów działania opartych. Zaliwski, człowiek o małych oryentacyach ideowych, a przedewszystkiem wybitny ideowiec Sztolzman przechodzą przez związki węglarskie, wyznające program federacyi i „niepodległości gmin“, co staje się istotną rzeczą w republikanizmie „Młodej Polski“, później „Zjednoczenia“, których duszą był Sztolzman. Przeciwnie Towarzystwo Demokratyczne i jego organizator Heltman wyznaje republikanizm centralistyczny. Różnica ta długo przeszkadza połączeniu się obu organizacyi, dopiero w r. 1847 połączenie dochodzi do skutku za sprawą Worcella i przez to zmienia się znacznie fizyognomia Towarzystwa Demokratycznego, nabierając wielu cech socyalistycznych. W związku z tem i obok tego wiele różnic powstaje w łonie Towarzystwa; szczególnie zaznacza się różnica zdań w aktualnej kwestyi politycznej w czasie wojny krymskiej: Mierosławski jest zwolennikiem tworzenia legionu pod egidą Turcyi, Centralizacya z Worcellem i Daraszem przedewszystkiem chce wywołać powstanie w kraju. Podkładem tego rozdźwięku była od upadku powstania 31. r. ciągnąca się polemika o rzecz tak zasadniczej natury jak technika przyszłego powstania. Zaliwski, Sztolzman i inni byli entuzyastycznymi zwolennikami partyzantki, Mierosławski zaś zawziętym jej przeciwnikiem. Takich spraw i kwestyi spornych, tak społecznych jak politycznych i militarnych, zasadniczych jak i aktualnych napotyka się mnóstwo na każdym kroku działalności omawianych mężów i widzi się, że nie były to spory słowne, lecz w gorączce realnej działalności prowadzone, ani gołosłowne, bo poprzez nie wije się ciągle postępująca linia rozwojowa tak pod względem zdecydowania i jasności programów, jak i ich nowoczesności.

Powszechnem jest mniemanie, że działalność emigracyi była skazaną na oderwanie od kraju. Dla czytelnika książki Limanowskiego staje się jasnem, jak wiele w tym sądzie powierzchowności. Już w pierwszych latach emigracya miała z krajem wiele łączników. Zaliwski i jego towarzysze przez długi czas bawią w Galicyi i mają liczne stosunki z tamtejszem obywatelstwem. „Młoda Polska“ posiada w kraju organizacye, założone przez Szymona Konarskiego i Leona Zaleskiego, a krakowskie „Stowarzyszenie Ludu polskiego“ jest z nią również w związku organizacyjnym. Od roku 1840 Towarzystwo Demokratycyne ma liczne stosunki w Poznańskiem, a za jego pośrednictwem wchodzi niebawem w kontakt z Królestwem, a nawet z prowincyami litewsko-ruskiemi. Czasopisma poznańskie przejęte są duchem demokratycznym i niepodległościowym, działacze demokratyczni jak Heltman i Mierosławski zjeżdżają z emigracyi w Poznańskie, cały szereg działaczy miejscowych, jak Mielżyński, Dembowski, Kiemieński, Libelt znajduje się w promieniu ich wpływów. To samo dzieje się w krakowskiem. a powstanie krakowskie 46 r. i jego manifest jak i przygotowania w poznańskiem w całości zorganizowane zostały przez Tow. Dem. W r. 48 wpływy demokratów w zaborze pruskim rozwijają się, jak świadczy wybuch powstania, w Galicyi inspirują cały ruch, wydają „Dziennik stanisławowski“, zyskują zwolenników później wybitnych, jak Godlewski, Ujejski, Smolka. Później organizacye przedpowstańcze z lat 60 w zaborze rosyjskim mają stosunki z emigracyą, a Rząd tymczasowy sprowadza stamtąd dyktatora, Mierosławskiego, oraz uczniów emigracyjnych szkół wojskowych. Komitet ten zrywał się nieraz, a nawet i pod względem ideowym odzywały się przykre rozdźwięki. Jak dziwnie obcą rzeczą np. wydawały się Heltmanowi lub Wróblewskiemu hasła legalne pracy organicznej po r. 64, dolatujące ich z kraju — ale też i w dziwnie harmonijnie brzmi akord zgody, gdy nad grobem dowódcy powstania litewskiego, później generała komuny paryskiej, później członka „międzynarodówki“ i przyjaciela Marksa i Engelsa — Walerego Wróblewskiego przemawia w r. 1908 jako nad grobem towarzysza reprezentant dzisiejszego socyalizmu polskiego, lub gdy dzisiejsi postępowcy odnajdują swoje argumenty w kwestyi niepodległości w odezwie komitetu centr. demokracyi europejskiej, lub w pismach Worcella czy Darasza.

SILVA RERUM.

(M. L.) ROZBÓJ TRYPOLITAŃSKI. Od chwili. kiedy numer ostatni „Życia“ oddaliśmy pod prasę, sprawa trypolitańska rozwinęła się z konfliktu dyplomatycznego, popartego zbrojną demonstracyą, w rzeczywistą wojnę. Po raz pierwszy od roku 1866 ozwały się działa na modrej toni Adryatyku, a flota włoska, tak fatalnie zbita pod Lissą, gdy z równie silnym przeciwnikiem była walka, teraz z hałaśliwym tryumfem zwycięża napadnięte znienacka, zanim jeszcze wiedziały o wojnie, staroświeckie torpedowce otomańskie. Z odmętu sprzecznych wieści wyłania się fakt walnej jakiejś batalii morskiej na Archipelagu, w pobliżu Mytilene, starożytnej Lesbos; zagrożone podobno najściem floty włoskiej są skaliste bramy Carogrodu, cieśnina Dardanelle, której bateryе zawsze dotąd urągały zakusom rosyjskim czy angielskim. Jest przeto wojna, chociaż Włosi to, co się dzieje, nazywają skromnie okupacyą wojskową ze względów ekonomicznych. Wojna, mająca bardzo wiele wspólnego z *reunionami* Ludwika XIV, z zaborami Wielkiego Fryderyka. Wojna, o której wybuchu zadecydowała jedynie chęć grabieży i niemoc

strony drugiej. Prawo mocy, o którem tak pięknie każą nasi wszechpoiacy, odsłoniło swoje oblicze, jako prawo pięści. Naród, który tak długo krwawe nosił na sobie ślady owego prawa mocy, który tak długo przeciw prawu mocy występował do nierównej walki w imię sprawiedliwości i wolności, nazbyt rychło przeszedł w brutalnym cynizmie swoich niedawnych gnębicieli. Fryderykowa zasada „bądźmy łotrami" stała się obowiązującą d a spadkobierców Cavoura. Na to męczył się Silvio Pellico, na to Mazzini szedł na tułactwo, na to krew przelewał wielki Garibaldi, aby pracą ich wyzwolona Italia dławiła sąsiedni odradzający się naród, który od wieków nie dał jej powodu do waśni, z którym jeszcze przed półwiekiem wspólnie krew przelewała na Krymie, — aby znienacka, zdradliwym ciosem mordowała młodą Turcyę.

Jest to w porządku rzeczy. Czyn p. San Giugliano jest w zgodzie zarówno z duchem współczesnej cywilizacyi kapitalistycznej, jak i z tradycyami politycznemi półwyspu apenińskiego; Włochy wydały przecież i machiawellową książkę: „*Il Principe*" i spotworniały typ monarchy narodowego w Cezarze Bcrgia; one wychodowały system „równowagi politycznej" i wykuły szablony, wedle których zagrabia się, rozbiera i zamienia państwa. Minęły czasy romantyzmu rewolucyjnego, czasy Garibaldich i Mazzinich. Imię bohatera z pod Mentany nosi jakiś krążownik czy torpedowiec włoski, uganiający się dziś na morzu Śródziemnem za bezbronnymi Turkami. I minęły czasy, kiedy krew polska użyźniała skalisty grunt Apeninu pod zasiew niepodległości włoskiej, kiedy Dąbrowski na konsulcie lyońskiej, proklamującej Republikę Włoską, reprezentował polskie legiony, kiedy Mickiewicz legion swój prowadził przeciw Austryi, kiedy Mierosławski przewodził powstaniu Sycylii, a Jarosław Dąbrowski i Bosak-Hauke byli przy Garibaldim. Zapomniane święte węzły przeszłości Zawsze mieliśmy krew ofiarną dla Włochów, walczących o wolność; dzisiaj krew drogim u nas stała się sokiem; gdyby zaś wypadki dzisiejsze miały ją wzburzyć, to nie byłby to entuzyazm dla bryganttyzmu politycznego, uprawianego przez Włochy, zaprzyjaźnione z Rosyą i na rękę idące Rosyi.

OSTATNIA NOWELA KANAŁOWA. Za pośrednictwem niemieckich dzienników podawały się do wiadomości naszej garść szczegółów odnoszących się do noweli kanałowej proponowanej przez rząd w ostatnich czasach. Ilość tych szczegółów zbyt skąpe — by można na niej oprzec — wszechstronne rozpływanie najnowszych propozycyi rządu. Wystarczą one jednak, by zaniepokoić opinię kraju.

Ośrudkiem bowiem dotychczasowych informacyi jest s u m a 55 m i l. kor. — wyznaczonych na budowę o d ł a m k u k a n a ł u g a l i c y j s k i e g o od Krakowa do granicy Szląskiej. Olbrzymia zaś suma 245 mil. opaść musi na rekompesaty krajów „poszkodowanych" w inwestycyami gospodarczemi w Galicyi.

Rząd więc centralny wkracza odważnie na drogę odszkodowań. Austrya górna i dolna, Kraina, Styrya i Tyrol oto kraje, które mieć będą w tym kierunku rozliczne pretensye, jakkolwiek za ustawę z 1901 roku z a p ł a c i l i ś m y j u ż, d a w n o z e s u t ą n a w i ą z k ą. S u m a t y c h o d s z k o d o w a ń p r z e k r o c z y n i e w ą t p l i w i e s u m ę k o s z t ó w b u d o w y k a n a ł u D u n a j - O d r a - W i s ł a - D n i e s t r. — P r z e d s m a k t e g o z a j m u j e m y (aż nazbyt cierpki) w proponowanej noweli kanałowej.

W programie budowy zestawionym w r 1902 przez ministerstwo handlu proponowano 134,313.000 K. n a k a n a ł K r a k ó w - W i e d e ń. Z 250 milionów zapewnionych budowie kanałów wydano dotychczas 150 milonów z czego poszło na budowę kanałów Czeskich 514 mil. kor. na budowę z a ś k a n a ł ó w W i e d e ń - K r a k ó w i g a l i c y j s k i e g o n i e w y d a n o a n i g r o s z a.

I dzisiaj z proponowanych przez rząd 300 milionów kor. z a l e d w i e $^1/_6$ ma pójść na budynek galicyjskich $^5/_6$ p o c h ł o n ą regulacye czeskie — budowa mostów na Dunaju i tp.

Przyzwyczajeni jednakowoż jesteśmy do tej tendencyjnej arytmetyki rządu centralnego stosownej zawsze ilekroć o potrzeby galicyjskie sprawa się toczy. Moglibyśmy ją więc przeboleć — radzi że wreszcie rozpocznie się fa tyczna budowa dróg wodnych.

Domagać się jednakowoż musimy jak najenergiczniej z u p e ł n i e p e w n y c h g w a r a n c y i p r a w n y c h — ż e p r o p o n o w a n a n o w e l a n i e z m i e n i w n i c z e m r o z l e g ł o ś c i d ó g w o d n y c h u s t a l o n y c h p r z e z p i e r w o t n ą u s t a w ę.

Podkreślić nam trzeba z całym naciskiem, że myśl ograniczenie wielkich propozycyi rządu z 1901 roku do wewnętrzno-galicyjs iego kanału, któryby od granicy szląskiej szedł w głąb kraju — uważamy wraz najpoważniejszemi sferami przemysłowemi w Galicyi za zupełnie chybioną. Ze stanowiska potrzeb i interesów gospodarczych Galicyi, a przedewszystkiem Zagłębia krakowskiego przyniesćby mógł taki kanał — więcej szkoły, aniżeli pożytku. Obstajemy więc niewzruszenie przy całym programie budowy ja i zakreślała sobie ustawa z 1901 r. — wzyw jąc swych posłów do czujnej i energicznej obrony tak postawionej sprawy.

(A-Z) WIEC OBYWATELSKI w sprawie kanałów odpył się 2 paźdz. w sali ratusza lwowskiego przy bardzo licznym udziele wszelkich warstw obywatelskich. Zjawili się reprezentanci miasta, posłowie sejmowi i parlmentarni, najpoważniejsze osobistości kraju i miasta. Nastrój panował bardzo poważny, a rezolucye uchwalone stawiają sprawę kanałów w odpowiedni sposób na czele postulatów krajowych.

Szczególnie ważnem jest uchwalenie wniosku Dr. Dwernickiego, mówiącego o walce nawet przez odnowienie konieczności państwowych. Jest to pierwsza groźba pod adresem rządu; jestto jedyne stanowisko, a fakt, że poparli je obecnie posłowie pozwala nam sądzić, że i koło Polskie podobne stanowisko zajmie.

Wiec zagaił poseł Kozłowski, wybrany następnie na przewodniczącego. Referowali pp. Maślanka i Starzyński, przemawiali pp. Neumann, Dwernicki, Sikorski, Olszewski, Downarowicz, Hausner, Pawlewski, Głąbiński i inni.

Rezolucya uchwalona jednogłośnie brzmi:

Zgromadzeni na wiecu 2. paźdz. 1911 we Lwowie obywatele kraju uważają budowę dróg wodnych i regulaeyę rzek, które zostały zapewnione krajowi ustawą państwową z 11 czerwca 1901, z a p i e r w s z o r z ę d n e d z i e ł o e k o n o m i c z n e, od którego przeprowadzenia zależną jest gospodarcza p r z y s z ł o ś ć k r a j u, —i polecają Prezydyum wiecu, ażeby się odniosło do prezydyum Rady Ministrów i Prezydyum Koła posłów polskich do Rady Państwa z usilnem żądaniem:

1) ażeby dyrekcya budowy dróg wodnych przystąpiła bezzwłocznie do oprecowania s z c z e g ó ł o w e g o p r o j e k t u k a n a ł u s p ł a w n e g o o d W i s ł y w K r a k o w i e d o S a n u w J a r o s ł a w i u i d o s p ł a w n e j p r z e s t r z e n i D n i e s t r u z o d g a ł ę z i e n i e m d o L w o w a;

2) ażeby bezzwłocznie rozpoczęto budowę kanału galicyjskiego między D z i e d z i c a m i a K r a k o w e m na przestrzeni Z a t o r - S a m b o r e k, dla której konsens wodno prawny w marcu 1909 został wydany i grunta wykupione, — a to na rachunek kredytu 30 m i l i o n ó w k o r o n, przeznaczonego na budowę dróg wodnych w Galicyi w pierwszym okresie budowy 1904 do 1912;

3) ażeby jak najrychlej przeprowadzono rewizyę trasy kanału od Z a t o r a d o D z i e d z i c, tudzież polityczną reambulacyę kanału od K r a k o w a d o S a m b o r k a i o d Z a t o r a d o D z i e d z i c;

4) ażeby w projekcie ustawy, ktory ma zabezpieczyć kredyt na budowę dróg spławnych i regulacyę rzek w dziesięcioletnim okresie od r. 1913 do r. 1922, zapewniono odpowiednie fundusze na budowę kanału W i s ł a - D n i e s t r, gdyż dopiero po zbudowaniu tej przestrzeni kanału, środkowa i wschodnia część kraju skorzystaz taniej komunikacyi wodnej.

(A. Z.) ZJAZD DELEGATÓW KÓŁ T. S. L. odbył się w dniach 29 wrz. — 1 paźdz. w Nowym Sączu. Zjazdem tym zamknęło T. S. L. swoją 20-letnią działalność. Niestety nie wypadł on tak licznie jak należało w chwili, w której bilans tak długiej pracy przedstawiano, a tem bardziej, że owocami tej pracy społeczeństwo polskie może słuknie się chlubić. 18000 osób kształciło w szkołach utrzymywanych przez Towarzystwo. W samym roku 1910 odbyło 7005 odczytów, będących działalnością oświatową pozaszkolną! Doniosłość pracy w T. S. L. uznają wszyscy — jest terenem na którym zbiegają się przedstawiciele całego społeczeństwa bez różnicy przekonań!

Niestety zjazd ostatni dał dowód znowu jak trudnem jest uszanowanie tej zasady przez część naszych stronnictw, a przedewszystkiem ND; uważającej wszystkie tereny pracy społecznej za swoje expozytury. To co miało miejsce niedawno na zjeździe „Kółek rolniczych", co

zresztą zdarza się na każdym zjeździe o większości nd niestety nie ominęło T. S. L. Oczywiście kandydatów należących do stronnictwa ludowego usunięto, a niektórym mowcom wrogim politycznie przerywano i zachowywano się wobec nich wprost skandalicznie.

Oto co pisze „Gazeta wieczorna“:

Wszechpolacy usiłowali nadać tegorocznemu Zjazdowi piętno wybitnie polityczno-partyjne. Mówi się z ich strony zawsze: „Precz z polityką ze stowarzyszeń oświatowych, kulturalnych, itp.“, ale robi się wręcz przeciwnie.

Dowodów na to i tym razem nie brak.

Sprowadza się dr Głąbińskiego do Nowego Sącza, jako delegata Koła akademickiego we Lwowie, jakkolwiek w pracy T S. L. wcale udziału nie bierze, bo nie ma na to czasu — wybiera go się manifestacyjnie przewodniczącym komisyi finansowej i następnie do Rady Nadzorczej — urządza się dla niego nadprogramowe owacye, bo każe się przedstawicielowi „Sokoła“, wygłaszającemu przemówienie powitalne „uderzać czołem“ anonimowo przed tym „najzacniejszym z Polaków“, a który w tej chwili wstaje i kłania się, a sala daje „grzmot oklasków“ — sadza się go podczas wieczornicy na pierwszem miejscu, które należało się prezesowi T. S. L. i ma się za złe temuż dr. Bandrowskiemu, że, kładąc kres wzajemnej adoracyi, nie dopuszcza do toastów, bo w ten sposób ubyła sposobność do nowej owacyi dla ekscelencyi...

Jest i kontr-demonstracya. Namiestnik Bobrzyński przysyła depeszę z życzeniami pomyślności obradom, — część uczestników zjazdu tej ogólno-narodowej i rzekomo bezpartyjnej instytucyi oświatowej przyjmuje je żakowskiem sykaniem i głośną wesołością ulicznika, któremu udało się za czyjemiś plecami pokazać mu język.

— — — — — — — — — — — —

To część komedyowo-operetkowa, znakomicie wyreżyserowana. A teraz fakta, smutne fakta.

Wybory do Zarządu głównego. Na pierwszem miejscu kandydatów, przedstawionych przez komisyę-matkę widnieje nazwisko długoletniego prezesa TSL. posła Ernesta Bandrowskiego, który stał u kolebki Towarzystwa, położył dla niego ogromne zasługi, uczczone przed paru laty przez Zjazd dyplomem członka honorowego.

W każdej innej instytucyi. niezarażonej polityką wszechpolską, obdarzonoby takiego członka jednogłośnym wyborem — a tu z jednej strony stawia się jego kandydaturę i oficyalnie poleca, z drugiej zaś pokryjomu kolportuje się listę ze skreślonem jego nazwiskiem. Wynik? Na 277 oddanych głosów 90 razy skreślono dr. Bandrowskiego. Z grona delegatów pada publicznie głos oburzenia z tego powodu — przewodniczący podówczas wszechpolak gromi piętnującego te praktyki, że to nie na miejscu.

Dlaczego to wszystko? — bo dr. Bandrowski nie jest wszechpolakiem i pada ofiarą porachunków partyjnych“.

Z RAPTULARZA.

W UZUPEŁNIAJĄCYM WYBORZE DO REICHSTAGU zdobyli socjaliści, 3000 głosów większości, jeden z najpewniejszych okręgów centrum — Düsseldorf. Wybitnie przemysłowy, olbrzymi okręg (104.000 wyborców) był nieprzerwanie w ręku centrum od 1871.

W PERSJI pobili demokraci trzeci oddział eksszacha, dowodzony przez jego przyrodniego brata Satar Dauleh'a i zdobyli dalszych 7 dział rosyjskich. O ile rząd rosyjski nie wmiesza się bezpośrednio, kontrrewolucję uważać należy za zakończoną.

WIEDEŃSKI MAGISTRAT zamknął prywatne szkoły czeskie, utrzymywane ze składkowych pieniędzy. Czesi wiedeńscy (około 400.000) nie posiadają ani jednej szkoły rządowej, a obecnie odjęto im prawa, które szanuje wobec narodów podbitych nawet Rosja. Wobec ostrych protestów Czechów zawiesił namiestnik na razie barbarzyńskie rozporządzenie.

W ROSJI wykonał nieznany rewolucyonista finlandzki zamuch na prezesa sądu w Abo. Prezes zabity, sprawca zastrzelił się. Na Kaukazie ekspropryował oddział bojowców mingrelskich kasę kolejową i uszedł bez przeszkody.

DALSZE ROZPRAWY o krwawą niedzielę wiedeńską przedstawiają niezmieniony obraz. Zą przekroczenia, które zawsze i wszędzie karane są kilkudniowym aresztem, sypią się miesiące i lata ciężkiego więzienia. Ze stanowiska prawniczego cennem jest uznanie konia policyjnego za władzę i postępywanie w myśl § 81 i uznanie słów zamienionych między 2 demonstrantami „da kommen Spitzel“ nietylko za obrazę władzy — ale za planowany napad na władzę.

W PORTUGALII rozpoczęli reakcjoniści oddawna przygotowywany (do spółki z „liberalnym“ rządem Canalejasa) najazd. Rozporządzają 4000 ludzi i podobno dość liczną artylerją.

Z dniem 30 września pismo nasze zamknęło rok swego istnienia.

W ciągu roku tego „Życie“ rozwinęło się, wypracowało sobie własne ideowe oblicze, stanęło odważnie na zdawna opuszczonej pozycyi i pod gradem pocisków wytrwać tam zamierza do ostatka. Zdobyło sobie wrogów możnych i zaciętych; ale skupiło również dokoła siebie zastęp liczny ludzi duchem żywych, walczyć chcących za sprawę wolności i postępu.

Od nich domaga się „Życie“ stałego współdziałania, pomocy czynnej. W ich ręku jest los pisma i dalsze jego istnienie.

„Życie“ poświęca w każdym zeszycie artykuł naczelny podstawowym zagadnieniom polityki narodowej. Szereg artykułów zagadnieniom bieżącym życia społecznego i narodowego w trzech zaborach i na obczyźnie. W każdym zeszycie poświęca kart kilka literaturze, sztuce i wiedzy. Zamieszcza utwory literackie wybitnych pisarzy, zestrojone z duchem pisma. Piórem fachowców porusza przysypane od pół wieku u nas pyłem niepamięci, a zajmujące dziś tak żywo całą Europę, zagadnienia wojskowości i wojny. Uderzeniami mizerykordyi rozprawia się z wstecznictwem, przewrotnością i obłudą.

W „Życiu“ zamieścili swe utwory literackie: Stanisław Barącz, Witołd Bunikiewicz, Bogusław Butrymowicz, Gustaw Daniłowski, Stanisław Falkiewicz, Feliks Gwiżdż, Józef Jedlicz, Juliusz Kaden, Jan Kleczyński, Marya Markowska, Władysław Orkan, Władysław Orwid, Wiktor E. Pordes, Wacław Radziszewski, Jadwiga Sarnecka, Savitri, Andrzej Strug, Sydir Twerdochlib i wielu innych. Współpracownikami „Życia“ byli: Dr. Tobiasz Aschkenase, Ignacy Daszyński, Marya Dulembianka, Wilhelm Feldman, Tadeusz Grużewski, Dr. Władysław Gumplowicz, Dr. Michał Janik, Dr. Witołd Jodko, Ludwik Kulczycki, Dr. Helena Landau, Bronisław Laskownicki, Dr. Bolesław Limanowski, Dr. Aleksander Lisiewicz, Iza Moszczeńska, Andrzej Niemojewski, Artur Śliwiński, Hipolit Śliwiński, Dr. Michał Sokolnicki, Konstanty Srokowski, Marya Turzyma, Leon Wasilewski i bardzo wielu innych.

ROCZNIK XIII. WRZESIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi	zagranicą			w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**